Nr. 9. Kraków, 1 Maja 1892 r. Rok II.

MYŚL

Dwutygodnik literacko-społeczny i Dodatek polityczno-ekonomiczny.

Od Administracyi.

Tym kwartalnym prenumeratorom, którzy dotąd nie uiścili przedpłaty za II kwartał, wstrzymamy wysyłkę „Myśli“, począwszy od numeru 10-go.

ROZWÓJ EKONOMICZNY GALICYI.

Galicya postępuje niewątpliwie od lat kilku na drodze odrodzenia ekonomicznego. Dowodem intenzywniejszej i na rzetelne uznanie zasługującej akcyi jest istniejący już w Krakowie: „Związek handlowy kółek rolniczych“, obecnie zaś szerszą w innym kierunku działalność rozwinęło Gal. Towarzystwo akcyjne handlowe we Lwowie, które przesłało nam następujący komunikat:

„Dnia 1. maja b. r. otwiera Galicyjskie akcyjne Towarzystwo handlowe we Lwowie „*Centralny Bazar dla wyrobów krajowych*“.

Równocześnie otwartą zostanie przy bazarze, w ubikacyach odpowiednio urządzonych, stała *Wystawa przemysłu krajowego*, a to głównie dla takich działów, których wyroby w większej ilości w bazarze nie mogłyby być pomieszczone, a które możnaby zastąpić pojedyńczemi okazami, modelami, wzorami, fotografiami, rysunkami i t. p.

Urządzeniem przy bazarze działu wystawowego, do którego będzie wstęp wolny dla zwiedzającej Publiczności, zamierza Towarzystwo handlowe przekonać jak najszersze koła naszej Publiczności, że wiele gałęzi naszego przemysłu jest już w takiem studyum rozwoju, że nie tylko nieustępują w niczem obcym wyrobom, lecz w wielu względach przewyższają takowe i są od nich tańsze.

Za pomocą ogłoszeń w czasopismach krajowych i przy pomocy personalu zajętego w dziale wystawowym, który obowiązanym będzie udzielać wszelkich informaayj dotyczących wyrobów na wystawie umieszczonych, starać się będziemy o pozyskiwanie dla naszego przemysłu jak najliczniejszych odbiorców i przyjmować wszelkie miejscowe, jakoteż zamiejscowe zamówienia.

Podobne *stałe wystawy przemysłu krajowego* mają niemal wszystkie większe miasta zagranicą, a w szczególności stolice krajów, których przemysł jest rozwinięty i wszędzie przynoszą znaczne korzyści przemysłowcom; mamy więc nadzieję, że urządzeniem w stolicy naszego kraju podobnej wystawy, połączonej z bazarem, potrafimy również naszemu przemysłowi oddać znaczne przysługi; kierując się zaś tą zasadą, ustanowiliśmy jak najniższe opłaty za pomieszczenie wyrobów, okazów, wzorów i t. p.

W końcu podnosimy tę okoliczność, że czas, dzielący nas od otwarcia Bazaru i Wystawy jest nader krótki i że chcąc przy tem otwarciu mieć zastąpione wszystkie gałęzie naszego przemysłu, oraz przedstawić wzorowe okazy, zmuszeni jesteśmy upraszać o jak najszybsze zgłoszenie się i przedłożenie wzorów lub przedmiotów swych wyrobów.“

Lwów, dn. 15. kwietnia 1892.

REFORMA WALUTY
w Austro-Węgrzech.

IV.

A teraz przypatrzmy się drugiej stronie medalu. W razie obniżenia się wartości kruszcu a więc i monety z niego bitej, wzrasta cena towarów, — zyskują na tym wierzyciele i producenci; u producenta jednakże każda zwyżka zysku sprowadza tendencyą zwiększenia kapitału lub konsumcyi osobistej ale r z a d k o wpływa na podwyższenie płacy robotnika. Sprowadza to więc tem silniejsze i prędsze zaśrodkowanie się kapitału w rękach niewielu jednostek, a zarazem rośnie przedział między kapitałem a pracą, zaostrza się kwestya socyalna.

Zachodzi tedy alternatywa dwojga złego, tak w razie wzrostu wartości monety, jak i zniżki może przyjść do przesilenia ekonomicznego. Z dwojga złego uważają wprawdzie za mniejsze zniżkę wartości kruszcu, ale dla robotnika zachodzą w obu wypadkach jednakowo złe skutki.

Z usunięciem srebra z obiegu monetarnego, stanie się ono tylko towarem i jako taki ulegać będzie wszelkim czynnikom targowym. Przedewszystkiem zwiększy się podaż srebra, obniży się jego wartość. Srebro zdyskredytowane w opinii społeczeństwa, sprowadzone z piedestału dawnej wysokości, straci zarazem i na znaczeniu jako materyał, służący do ozdoby. Wartość jego tem bardziej zniży się; natomiast upodobanie do złota, jako środka do ozdoby wzrośnie a w ślad za tém popyt za złotem i cena. Ci, którzy wielki posiadali zasób srebra nagle wielkie poniosą straty. Oczywiście, że niektóre kopalnie srebra zmuszone będą powstrzymać produkcyą srebra, jeśli obniżona jego cena nie wyrówna kosztów dotychczasowej produkcyi. A wtedy przy stopniowem zmniejszaniu produkcyi srebra, może po latach przyjść do pewnej równowagi. Tymczasem jednak nastąpi przesilenie ekonomiczne z wszelkiem prawdopodobieństwem. Zaangażowane są tu sfery, które opierają owe gospodarstwa przeważnie na kredycie a nadto ci, których producenci nabywają surowiec. Nie jest bowiem wykluczonem, że producenci w części starać się będą obniżyć cenę surowca w obec zniżki cen towarów przez nich wyprodukowanych. Zważywszy, że Galicya jest krajem przedewszystkiem rolniczym, że produkcya surowców jest tutaj najważniejszą gałęzią gospodarstwa krajowego, dalej, że własność ziemska w Galicyi jest nadmiernie obdłużoną, a wreszcie, że przeszło 20 i kilka milionów złr. recznie wynosi niedobór finansowy gospodarstwa krajowego, który Galicya płaci zagranicy ponadto, co od niej otrzymuje*), łatwo dojść można do wniosku, że Galicya na zwyżce wartości przyszłéj monety wielką poniesie s t r a t ę. Faktem zaś jest, że złoto w cenie wzrośnie przy większem jego zapotrzebowaniu na wypadek przyjęcia złota, jako głównego kruszcu monetarnego w Austryi.

Tak ze stanowiska obozu monometalistów, jak i ze względu na stosunki ekonomiczne naszego kraju należą się słowa uznania profesorom: Milewskiemu i Pilatowi za silne zaakcentowanie ujemnych skutków, jakie sprowadzi dla Galicyi specyalnie zaprowadzenie waluty złotej w Austryi.

Prof. Milewski zażądał w myśl zapatrywań bimetalistów zwołania międzynarodowej konferencyi monetarnej; tymczasowo zaś zgadza się tylko na przyjęcie złota do obecnie w Austro-Węgrzech istniejącej prawnie waluty srebrnej. W ten sposób miałaby monarchia utorowaną drogę do stanowiska, jakie zająć ma w przyszłej konwencyi monetarnej.

W obec tak anormalnych stosunków monetarnych, jakie teraz panują, wobec coraz to namiętniejszej walki 2 obozów w obronie swych zasad, wobec wcale silnych i w części usprawiedliwionych zarzutów, jakie sobie wzajemnie przeciwnicy czynią, należałoby może znaleść drogę pośrednią, na której zeszliby się zwolennicy obu obozów, drogę, na którejby obydwa obozy znalazły cel i postulaty, jakie stawia się każdej monecie, t. j. stałość wartości i uniwersalność.

Takiem medium byłby system s p o j o n e g o b i m e t a l i z m u**). Zasada tego systemu da się w ten sposób sformułować: P a ń s t w o b i j e m o n e t ę z m i e s z a n i n y o b u k r u s z c ó w. M i e s z a n i n a s k ł a d a s i ę z s r e b r a i z e z ł o t a, o r ó w n y c h c o d o w a r t o ś c i c z ę ś c i a c h s k ł a d o w y c h. Jeśli stosunek złota do srebra (po obliczeniu statystycznym według stosunków produkcyi i zasobu kruszców obu całego świata) wynosiłby np. 1 : 16, zawierałaby więc jednostka monetarna 16 razy więcej srebra niż złota. Moneta taka byłaby zupełnie niezawisła od stosunków produkcyjnych poszczególnych kruszców i od popytu lub podaży za jednym z kruszców. W razie

*) „Nędza Galicyi“. Lwów 1888, St. Szczepanowskiego str. 53.

**) Pozostawiamy autorowi zupełną dowolność formułowania wniosków i ich argumentacyi. (Przyp. red.)

zwiększenia się produkcyi jednego z kruszców składowych a zmniejszenia się jego wartości, wzrośnie równocześnie w równej mierze wartość drugiego kruszcu składowego. W razie zmniejszenia się produkcyi jednego z kruszców składowych a zwiększenia się jego wartości, obniży się równocześnie i w równej mierze wartość drugiego kruszcu składowego. Proces ten odbywać się będzie w każdej sztuce monety równocześnie dla obu kruszców składowych. Wartość tedy każdej sztuki monety pozostanie nienaruszoną. Podobnie rzecz się ma przy wzroście popytu lub podaży jednego z kruszców.

Przypuściwszy, że zagranicą urośnie popyt za złotem, że zagranica szukać będzie u nas złota, wtedy z wzrostem popytu opadnie zarazem wartość kruszcu drugiego t. j. srebra, którem płacić chce zagranica. Srebra jednak w kraju nabywać nikt nie będzie, bo ono samo nie zaspokoi tu potrzeb monetarnych.

Zarzut tedy, że jeden z kruszców pójdzie zagranicę tam, gdzie go wyżej cenią, jest przy systemie spojonego bimetalizmu nieuzasadnionym, bo jeden kruszec sam wyjść wyjść nie może za granicę. System ten, ma więc wszystkie zalety zwykłego systemu bimetalicznego a uchroni od zarzutów, jakie monometaliści czynią bimetalizmowi. Można go również zaprowadzić w każdem państwie odrębnie, bez interwencyi zagranicy.

System ten ma jednak jedną stronę ujemną, mianowicie sztuki monety nie mogłyby reprezentować wysokiej wartości. Wobec tego należałoby dla wyższych kwot zatrzymywać papiery bankowe z pełnem pokryciem metalicznem w obu kruszcach.

Julian G.

SIGNUM TEMPORIS.

(POLEMIKA).

Co to za pyszna rzecz — frazes! Trafnie przyrównał go ktoś niedawno do piłki z pik-pocket'u: giętki i przydatny jak ona. A jak dobrze nim wojować! Uznała też pożyteczność jego wielka liczba szermierzy: gdy tylko nie można walczyć faktami i argumentami rzeczywistymi, natychmiast sprowadza się walkę na pole ogólników, abstrakcyjnych haseł i.... frazesów.

Próbki takiej walki dostarczył nam zamieszczony w nr. 8 „Myśli" artykuł polemiczny p. J. S. Artykuł ten dał nam w bezimiennym autorze odrazu poznać doświadczonego weterana z walk, w których wojuje się bronią powyżej przytoczoną — weterana w całem tego słowa znaczeniu. Z tego tytułu mielibyśmy prawo przejść nad nim do porządku, gdyby nie istotna znamienność tego wystąpienia, cechująca dosadnie ten tak często u nas praktykowany rodzaj polemiki. Z tej przyczyny uważamy sobie za obowiązek wystąptć w „Myśli" z krytyką krytyki, której głównym celem jest oczywiście: sprostować „dane", jakie „polemika" p. J. S. zawiera.

Szereg rzekomych sprostowań sądów wypowiedzianych przez nas w artykule: „Signum temporis" rozpoczyna polemista od twierdzenia, że „przyczyny upadku żelaznego księcia należy szukać nie w potędze indywidualnej Bismarka, ale w jego despotycznych rządach". Zdanie to byłoby słuszne, gdyby upadek Bismarka spowodował był naród, tj. parlament. Ale fakta uczą, że upadek żelaznego kanclerza spowodowała wyłącznie wola jednostki — wobec tego zaś prawdopodobniejszem jest przypuszczenie, że cesarz Wilhelm II. ulegając ogólnemu prądowi, zdążającemu do usunięcia wybitnych jednostek, z przyczyny tego właśnie prądu dał dymisyę ministrowi, który na wszystkich czynach rządu niemieckiego wyciskał piętno swej potężnej indywidualności.

Dalszą przyczyną upadku Bismarka widzi polemista w jego „systemie ucisku, zdążającego do zniwelowania i podciągnięcia pod jeden szablon militarny kilku odrębnych i to nie jednostkowych, lecz narodowych indywidualności." Przyczyną upadku Bismarka było więc to, co stanowiło jego nieśmiertelną zasługę, t. j. skonsolidowanie państwa nieniemieckiego? Wszak jeżeli jedna jest zasługa Bismarka, której nie zaprzeczają mu nawet jego najzaciętsi wrogowie, to jest nią właśnie ta, że potrafił rozproszone i rozbite „indywidualności narodowe" połączyć w jedno potężne mocarstwo.

Ale szanowny polemista nie liczy się widocznie zbyt skrupulatnie ze słowami, — czego dowody złożył między innemi i w tem zdaniu: „Socyalizm a anarchizm — to dwa pojęcia sprzeczne, wykluczające się nawzajem." Nie tu miejsce wdawać się z autorem w dyskusyę co do tej kwestyi, nie od rzeczy jednak będzie przytoczyć słowa, jakie odnośnie do tej kwestyi napisał Karol Marx w liście do jednego z towarzysów: „Pomiędzy społeczeństwem kapitalistycznem (t. j. obecnem) a komunistycznem (t. j. przyszłem) leży epoka polityczna, w której państwo niczem innem być nie może, jak rewolucyjną dyktaturą proletaryatu" *). Słowa Marxa objaśnia — dla dokładniejszego zrozumienia — tow. Engels pisząc w *„Neue Zeit"* jak następuje: „Chcecie panowie wiedzieć, jak wygląda dyktatura proletaryatu? Spojrzyjcie na komunę paryską — to była dyktatura proletaryatu". Słów tych — zdaje się — autor „polemiki" nie znał; Jeżeliby zaś zechciał bliżej poznać stosunek, jaki zachodzi pomiędzy anarchizmem a socyalizmem, niechaj przeczyta książkę H. Bluma p. t.: „Kłamstwa socyalnej demokracyi niemieckiej *), a dowie się, że anarchizm a socyalizm, to nie „dwa pojęcia sprzeczne i wykluczające się nawzajem".

Jeżeli jednak można ignorancyą czy zacietrzewieniem wytłómaczyć jaskrawe pomyłki, jakie polemika p. J. S. zawiera, to niewiadomo już, czem wytłómaczyć podobne zdanie autora: „Społeczna demokracya walczy nie z indywidualizmem, ale z despotyzmem, będącym jego konsekwencyą *(sic!)* w dzisiejszym ustroju społecznym". Autor „polemiki" stworzył widocznie nowe zasady logiki, któremi kieruje się w swojem rozumowaniu. Gdyby bowiem znał elementarne zasady logiki, wiedziałby niezawodnie, że z obecności skutku wynika obecność przyczyny, że nie można uznać lub odrzucić jakiejś teoryi, nie uznając lub nie odrzucając równocześnie jej konsekwencyj, że nie można zatem walczyć z konsekwencyą indywidualizmu, nie walcząc temsamem z indywidualizmem samym, podobnie jak nie można walczyć ze skutkiem, nie walcząc eo ipso z przyczyną. Nie wiemy zaprawdę, czem tę niekonsekwencyę w rozumowaniu autora wytłómaczyć?

Sprostowawszy szereg fałszów rozmyślnych czy nierozmyślnych, jakie zawiera „polemika" p. J. S., przechodzimy do — niestety bardzo szczupłej — strony rzeczowej jego wywodów. Przedewszystkiem musimy zaznaczyć, że „polemika" jego nie jest bynajmniej odpowiedzią na nasz artykuł. Kwintesencyą artykułu: „Signum temporis" było skonstatowanie faktu, że epoka nasza nie jest epoką potężnie rozwiniętego indywidualizmu. Polemista zamiast zaprzeczyć prawdziwości tego twierdzenia, rozpisuje się nad postulatami partyi socyalno-demokratycznej, broniąc jej przed zarzutem, jakoby ona była przyczyną tego kierunku. Na twierdzenie więc nasze, zgadza się szanowny polemista, tylko co do przyczyn powstania tego prądu, zachodzi między nami różnica zdań. Otóż, odpowiedź nasza — co do tej kwestyi — brzmi: pierwsza część polemiki była zupełnie niepotrzebna, gdyż artykuł nasz nie był traktatem o postulatach socyalnej demokracyi; co do drugiej części odpowiadamy: nie przekonano nas! Faktów trzeba, faktów, aby udowodnić to, o czem się tak szeroko rozprawia, same — choćby Bóg wie jak pięknie brzmiące frazesy — nie przekonają nikogo.

S. W.

Uwagi powyższe zakomunikowaliśmy p. J. S., który przesyła nam następującą odpowiedź na wywody p. S. W.

Nie chcąc zaostrzać tonu polemik, zamykamy niniejszem dyskusyą. (Przyp. red.)

* * *

Ponieważ autor powyższej repliki wypiera się tendencyi, jakiej się w pierwszym jego artykule dopatrywałem i odpowiedzialności za nią przyjąć na siebie nie chce — przeto nie widzę potrzeby odpowiadania na wykrzykniki, nie mające z samym przedmiotem polemiki żadnego związku. Czy p. S. W. upatruje w despotyzmie konsekwencyę indywidualizmu, czy nie; czy zdaniem jego Wilhelm jest mędrzejszy od Bismarka czy Bismark od Wilhelma — to nas zupełnie nie obchodzi; natomiast z ubolewaniem skonstatować wypada, że gorączkujący się orędownik zanikającego indywidualizmu, wiadomości swoje o prądzie tak potężnym, jak socyalno-demokratyczny, czerpie z źródeł tak podejrzanyah i wprost brudnych, jak pamflety Bluma i jemu podobnych pismaków.

Stamtąd też niezawodnie zaczerpnął p. W. przekonanie, że militarny system bismarkowski, „który potrafił rozbite i rozproszone indywidualności narodowe połączyć w jedno mocarstwo" jest zasługą, której pruskiemu despocie najzaciętsi nawet nie odmawiają wrogowie (!). Zapomniał p. W. widocznie, lub może nie wiedział wcale — jakiemi środkami egoizm teutoński doszedł do celu; wystarczy tu wymienić: ustawę antisocyalistyczną, która skazała na wygnanie najdzielniejsze jednostki li tylko za przekonania, i rugi wielkopolskie z przed lat dziesiątka, które złamały byt kilkudziesięciu tysięcy rodzin li tylko za — przyznawanie się, ba, za samo należenie do znienawidzonej przez Bismarka narodowości polskiej. Doprawdy! jest za co podziwiać i uwielbiać indywidualizm żelaznego księcia!

Gdyby p. S. W. był się po naukę — tak bardzo dlań konieczną — zwracał do dzieł naukowych, byłby sobie może oszczędził

---

*) List ten napisany w r. 1875 ogłoszony został przez Fr. Engelsa w organie partyi socyalno-demokratycznej: *„Neue Zeit"* w r. 1891.

*) Hans Blum: Die Lügen unserer Socialdemokratie, Wismar, 1891.

Nr. 9. Kraków, 1 Maja 1892 r. Rok II.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi: rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech: rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi: rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI“ po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie; we Lwowie księgarnie: Seyfartha i Czajkowskiego oraz Altenberga, a pojedyncza sprzedaż w biurze L. Plohna. W Poznaniu: księgarnia J. Leitgebra.

PRZYSZŁOŚĆ ZIEMI.

(Z literatury naukowej.)

Ciekawe dziełko o peryodycznie powtarzających się zalewach części świata pojawiło się w literaturze niemieckiej. Autorem jego jest radca dworu i były kierownik regulacyi Dunaju we Wiedniu, p. Wex. Osobistość to wielce popularna w stolicy rakuskiej, a znana i u nas zaszczytnie, pan Wex bowiem pracował przez lat kilkanaście i w Galicyi, jako inżynier przy namiestnictwie lwowskiem. Powołany do ministeryum dla niezwykłych swych zdolności, zasila on od lat wielu literaturę naukową, pisząc dzieła głównie z zakresu budownictwa wodnego. Obecnie pokusił się on o rzecz, wychodzącą po za granice jego specyalności, niemniej jednak utrzymaną na poziomie ściśle naukowym. Tytuł tej pracy brzmi: *Periodische Meeresanschwellugen an dem Polen und am Aequator. Wien 1892.*

Autor rozbiera tu najprzód wszystkie dotychczas znane fakta i zjawiska, stwierdzające teoryą jeszcze przez Adhemara postawioną, (a z biegiem czasów bardziej przez astronomów jak przez geologów rozwiniętą), według której biegun północny i południowy doznają naprzemian wraz z krajami podzwrotnikowemi zatopienia, lub przynajmniej częściowego zalania, po pewnym okresie wiekowym.

Spostrzeżenia astronomiczne wykazują, że punkta równonocne, a z niemi i wielka oś ekliptyki obracają się około słońca rocznie o kąt bardzo, co prawda, mały, ale powtarzający się bezustannie, co właśnie jest powodem, że w przeciągu 20,930 lat opisują one prawie całe koło. Zjawisko to pozornie obojętne, sprawia, że ilość dni od porównania wiosennego do jesiennego jest w pewnych czasach inną, aniżeli od porównania jesiennego do wiosennego. Jeżeli, jak w naszym wieku, ilość dni od porównania jesiennego do wiosennego jest o ośm dni większa, niż między porównaniem następnem, wówczas widzimy, że lato na południowej półkuli jest o tyleż dłuższe jak na północnej. Fakt ten wpływa na silniejsze ogrzanie półkuli południowej niż północnej, skutkiem czego znów topnieją powoli lody około bieguna południowego. Woda z nich powstała rozmieszcza się jednostajnie około środka ciężkości ziemi, sprawiając tem samem wznoszenie się poziomu mórz na wszystkich punktach równika i półkuli północnej. W miarę też topnienia lodów na biegunie południowym, wzrasta ilość lodów na półkuli północnej, w skutek dłuższych zim a krótszych pór letnich. Przybywa w ten sposób i ciężaru na północnej półkuli, środek zaś ciężkości ziemi przesuwa się powoli na północ od płaszczyzny równika. Pociąga to za sobą wielką ilość wody z południowej półkuli, która, jako ruchliwa, znowu się rozmieszcza jednostajnie około środka ciężkości ziemi, sprowadzając potop na północną półkulę. Równocześnie z tem wyłonią się z wody nowe, nieznane lądy na południe od równika.

Po kilkunastu tysiącach lat przesunie się znów masa wody z półkuli północnej na południową, odkrywając przyszłym pokoleniom odświeżoną Europę, Azyę i Amerykę północną. Lądy te rozpoczną się więc prawdopodobnie na nowo zaludniać, stając się terenem walk, trosk, uciech, prześladowań i tych wszystkich czynników, które ludzkość za sobą przynosi. Życie w całej pełni rozbudzi się tu na nowo — dopóki nowy potop kresu mu nie położy.

Dwa ostatnie wypadki zatopienia krajów Europy znane są w geologii, pod nazwą epok lodowych, w których woda z pod bieguna północnego przyniosła do środkowej Europy wielką ilość głazów narzutowych, czyli erratycznych. Pan Wex odnosi także podanie o potopie u ludów wschodnich do ostatniego zalania Azyi południowej, podczas przesuwania się wód oceanu Indyjskiego na północ. Zdanie Suessa, który w dziele swem: *„Das Antlitz der Erde“* — potop szczegółowo rozbiera, jest w tej sprawie inne.

Obok opisanych powyżej zjawisk, które powinnyby się odbywać w nieskończoność, zrobiono jeszcze w wielu miejscach spostrzeżenie, że ilość wody w morzach w ogóle się zmniejsza. Linie brzeżne, dokładnie poszukiwane w różnych krajach, wykazują, że przy każdem następnem zalaniu, woda coraz niższego trzyma się poziomu. Możnaby przypuszczać, że przyczyną tego zjawiska jest ostyganie powolne skorupy ziemskiej i ogólne przybywanie lodów. Tak jednakże nie jest.

Według p. Wexa, rozkład skał na powierzchni ziemi, odbywający się bezustannie pod wpływem wilgoci, ciepła, wiatrów i innych czynników, daje początek zupełnie nowym minerałom, wśród których bardzo wiele powstaje wodników, tj. takich minerałów, które zawierają w swym składzie wodę. Związana chemicznie, nie jest ona w stanie ulotnić się, chyba dopiero przy bardzo wysokiej temperaturze. Ponieważ rozkład skał i wchłanianie wody trwa od wieków, przeto i wody na powierzchni ziemi ubywa ciągle, — aż jej ostatecznie zupełnie zabraknie. Z ubytkiem zaś wody znikną rośliny, zwierzęta i ludzie z powierzchni ziemi, a w miejsce ich zapanuje ponura cisza i martwota.

Horoskop ten dalekiej przyszłości wyda się może komuś dziwnym, a jednak nie jest on urojonym. Przykładem takiego stanu jest księżyc, na którym śladu wody nie widzimy, mimo, iż niegdyś musiała się ona i na tym planecie znajdować.

Że wiele wieków minie — zanim i ziemię podobny los spotka, to pewna — niemniej jednak warto się czasem zastanowić i nad tą daleką przyszłością. Obraz jej skreślony jest w dziełku p. Wexa bardzo zajmująco i opiera się na wywodach ściśle naukowych. — Świat uczonych powitał tę pracę z wielkiem uznaniem. *K. J. N.*

LISTY PARYSKIE.

(Kor. wł. „Myśli.“)

Nowe kierunki w dramacie francuskim.

I.

Literatura francuska stoi obecnie u przełomu. Naturalizm, położywszy trwałe podstawy techniki i nauczywszy ścisłości w obserwacyi pisarskiej, pochylił się ku mogile, echa romantyczne tak dawno już przebrzmiałe, na nowo zadzwonić nie mogą. Wiek klasyczny również nie wróci, bo czynniki, które złożyły się na jego istnienie, ustąpiły miejsca innym. Jeśli więc piśmiennictwo krok nowy ma naprzód postawić, musi nową wypatrzeć drogę. Nie zmieni się może jego szata zewnętrzna — metody szkoły naturalistycznej odpowiadają w zupełności wymaganiom artyzmu — ale życie wewnętrzne zabije żywszem tętnem. Literatura dotychczasowa, zwłaszcza dramatyczna i powieściowa, była wyrazem opinij i uczuć burżuazyi, rzadko kiedy dawał się w niej uczuć świeży powiew demokratyzmu. Miłostki i rozrywki, czasami bodaj przedmiotowe rozkoszowanie się obrazami społeczeństwa spółczesnego, stanowiły wątek powieści nie tylko sił słabszych, ale także talentów wybitniejszych. Jeśli weźmiemy nawet powieści Zoli i Daudet'a, czy we wszystkich znajdziemy hasło postępu, albo przynajmniej zgrzyt pesymizmu? Bez wątpienia ci giganci literaccy wiele nam odkryli prawdy, szeroko otworzyli nasze oczy na niedostatki ustroju społecznego, ale czy robili oni to z umysłu? Nie bardzo; Zola i Daudet, Bourget i Maupassant ideami społecznemi nie wiele się zajmowali, a jeśli kiedy z ust ich stoczyło się złorzeczenie porządkowi społecznemu, to było ono niemal odruchowem. Wielbiąc w duszy prawdę, prawdę przedstawiali, a że ta prawda taka była smutna, nie oni byli winni.

Naturaliści podobni byli do statystyków, wykazujących wzrost przestępstw i pauperyzmu, ale wstrzymujących się od sądu. Sąd ten jednak jest potrzebny; jak ekonomia, chociaż do czasów Marksa posiadała dane, dowodzące powstania kapitału z wyzysku,

dopóki Marks tych danych nie oświetlił, nie mogła ożywić budzącego się żywiołowo ruchu robotniczego, tak literatura, dopóki u steru jej nie staną ludzie, nadający jej kierunek postępowy, nie będzie wywierać tak potężnego wpływu społecznego, jakiby powinna. W bieżącej chwili zwrot ku reformie objawia się we wszystkich piśmiennictwach, w łonie wszystkich prawie literatur odbywa się przesilenie. Nie zawsze przybiera ono barwy sympatyczne dla nas, znaczna część objawów jest reakcyjna, ale obok tych objawów wynurzają się inne, pomyślniejsze, lepszą wróżące literaturze przyszłość. W liczbie pisarzy, głoszących zmiany, znajduje się poczytna ilość postępowców, a dążności ich zarysowują się bardzo wyraźnie.

Chcąc w kilku rysach przedstawić to wikłanie się rozmaitych kierunków w piśmiennictwie francuzkiem, rozpocznę tu od dramatu.

Znane są wszystkim motywy dramatów i komedyj fracuskich. Wesołe życie, lekka młodzież, miłostki z cudzemi żonami, oto tło tych „utworów“ dramatycznych, które jednak z Francyi rozpryskują się po całym świecie. Wystarcza kilkakrotne ich przedstawienie w teatrach paryskich na uzyskanie im pochwały w Niemczech, Anglii, Ameryce, a przynajmniej w Polsce. Pseudomistrzowie: Meilhac, Halévy, Pailleron, Brisson ze sprzedaży swych komedyj zyskują grube sumy, ale sztuka tylko traci na tem, bo zabagnia się jednym ciągiem. Sztuka poważniejsza nie ma tu powodzenia; od kiedy pogrzebano patetycznych bohaterów dramatów i tragedyj romantycznych, nie może się ostać na scenie nic wznioślejszego. Nawet realistyczne, prawdziwe życie tylko odtwarzające dramaty upadają: wspomnę tylko o Teresie Raquin Zoli, o Henryce Maréchal braci Goncourtów, Arlezyance Daudeta. W ostatnich już czasach przed dwoma miesiącami, upadła z kretesem „Kłamliwa“ Alfonsa Daudeta. Nie pomaga tu imię autora, burżuazyjne nawyknienia przemagają w publiczności.

Wobec tego wyłoniły się naturalnie kierunki przeciwdziałające. Rozróżniłbym ich cztery: kierunek naturalistyczny, już prawie hypernaturalistyczny, realistyczny, mający na względzie głównie zmiany techniczne dramatu; misteryjny, cofający się do techniki i tematów średniowiecznych i nareszcie społeczny, dotychczas mało ujawniający się, ale rosnący w siłę i mający przyszłość przed sobą.

Pierwszy w styczniu bieżącego roku narobił wiele wrzawy. W jednej z większych kawiarni paryskich, młody pisarz dramatyczny, August Chirac, zapowiedział szereg przedstawień „realistycznych“. Repertuaru dostarczył sam ogłaszający. Z trupą złożoną z kilku artystek i o ile zdaje mi się jednego artysty — samego Chiraca, — rozpoczął swe przedstawienia — przy licznym, powiedzmy, spółudziale publiczności. Ten spółudział jest bardzo charakterystycznym objawem wśród społeczeństwa francuskiego, wykazuje on zezwierzęcenie warstw burżuazyjnych, puszczających wolne cugle swoim chuciom i żądzom. Wiadomo bowiem było, że na scenie ma być przedstawione „possession“ i „avortement“, (zgwałcenie i spędzenie płodu), mimo to, sala wypełniła się po brzegi.

Pierwszym dramatem jednoaktowym był: „Żebrak.“ Żebrak wieczorem przychodzi do leśniczówki, leśniczy przyjmuje go na noc. W nocy córka jego przychodzi w koszuli do żebraka i kusi go, żebrak opiera się, nareszcie leśniczanka rzuca mu się na szyję. Dalszym wynikiem miała być „possession“.

W drugim: „Avortement“ miała być przedstawiona odnośna scena. Kobieta publiczna nie chce odbywać połogu, przywołana akuszerka wyprowadza ją z afery. Że podobne sztuki mogły być dawane, trudno sobie wyobrazić, lecz faktem jest, że publiczność chciała je widzieć, a przy scenie końcowej Żebraka goście z tyłu wołali: „odsuńcie się, chcemy widzieć“. Trybunał jednak publiczny wezwał Chiraca przed sąd i razem z jego artystkami zasądził na grzywnę i więzienie.

Jak źle zrozumianym jest tu naturalizm nie podlega wątpieniu. Sztuka, którą nazwałem realistyczną, nie splamiła się nigdy podobnym cynizmem, pozbawionym wszelkiej myśli społecznej, obliczonym tylko na zwierzęcość w człowieku. Przedstawiciele jej także są przejęci zasadami naturalizmu, lecz rozumieją go inaczej. Nie zwierzę należy według nich przedstawiać i jego niskie instynkty, lecz człowieka w jego istnieniu, w jego życiu i walce. Jest to szkoła, której technika ma wszelkie korzyści bytu i która w połączeniu ze szkołą społeczną, może obdarzyć świat prawdziwemi arcydziełami.

Przedstawiciele jej grupują się około tz Wolnego Teatru. W większych lub mniejszych odstępach czasu Wolny Teatr daje przedstawienia, może najlepsze ze wszystkich paryskich. Nie ma na jego scenie wielkich artystów, lecz są cenne utwory. W lutym przedstawiano tam Franciszka Curela: „Nawrócenie świętej“ (L'envers d'une sainte), sztukę, którą krytyka jednogłośnie uznała za perłę artyzmu. Nie było tam konfliktów, ani intryg, lecz była siła przedstawienia. Kobieta, która nienawidziła żonę człowieka przez nią niegdyś kochanego, a która widząc ją w nieszczęściu przebacza jej — oto bohaterka dramatu. Przeprowadzenie tematu drgało talentem, psychologia nielicznych osób utworu głęboka i niezrównana wzruszyła do głębi widzów. Dramat ów zasługuje na szczere uznanie.

Innym przedstawicielem tego kierunku jest: Jullien, zdolny krytyk teatralny — jedyny, zdaje się, Francuz znający i podziwiający Słowackiego. Zachwyca się zwłaszcza Mazepą. Wystawiał on w ostatnich latach kilka dramatów, którym również przyznano wielką wartość. Jeden z nich „Echéance“ (Termin wypłaty), co do treści zbliża się do „Fortuny“ Kiellanda. Nie ma w nich także intryg, nie ma obznajomień publiczności z przeszłością bohaterów, wszystkie te utwory są kartkami wyrwanemi z księgi życia. Co do techniki, porównałbym go z Strindbergiem, którego „Panna Julia“ również przedstawia jeden moment z życia, chwycony błyskawicznie na fo-

---

KLĘSKA

(La débâcle).

POWIEŚĆ

przez

EMILA ZOLĘ.

5) CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

— Z Bazylei... Pierwsza nasza dywizya rozbita... Dwanaście godzin walki... Cała armia się cofa...

Cień pułkownika przystanął i zawołał inny cień, który pospiesznie się przysunął, lekki, wysmukły i prosty.

— Czy to ty, kapitanie Beaudoin?..

— Tak, pułkowniku.

— Ah!... mój Boże!... Mac-Mahon pobity pod Fröchwiller, Frossard pobity pod Spickeren, de Failly unieruchomiony, bezużyteczny pomiędzy nimi dwoma... Pod Fröchwiller jeden korpus przeciw całej armii, cuda waleczności!... I wszystko to zgniecione, zdeptane, klęska, ucieczka, panika... Francya stoi otworem...

Łzy głos mu zatamowały, wyrazy jakieś niedokończone zamarły mu w gardle... Trzy cienie zniknęły, utonęły, rozpłynęły się w morzu ciemności!...

Maurycy cały drżący, zerwał się na równe nogi.

— O Boże!... — wyszeptał.

I nie miał wyrazów, aby coś dodać jeszcze, gdy Jan, któremu w żyłach krew się z bólu ścinała, rzekł:

— A!... podły los!... Ten pan, wasz kuzyn, miał widać racyę, gdy mówił, że oni są od nas mocniejsi!...

Rozwścieklony Maurycy byłby go udusił z ochotą!... Prusacy silniejsi od Francuzów!... Kto to powiedział!?.. Duma jego głęboką, krwawą odniosła ranę!... Ale już chłop uparty i spokojny dodawał:

— Ale to nic!... Widzisz pan, że się tam raz po łbie dostało, to jeszcze przecież nie ambaras!... poddawać się nie ma czego... Tłuc i bić... mimo to!...

W tem przed nimi ukazała się postać jakaś długa i duża. Był to Rochas, owinięty jeszcze płaszczem. Rochas, którego ze snu wyrwały szmery oderwane, albo może tchnienie klęski i który chciał też wiedzieć i dopytywał się.

Gdy nareszcie z trudnością zrozumiał, w jego dziecinnych oczach bez wyrazu, bezgraniczne ogłupienie się odbiło.

Więcej niż dziesięć razy, raz po raz powtarzał:

— Pobici!... jakto pobici!... dlaczego pobici!?...

Była to straszna wieść, którą trwoga tej nocy była brzemienną. Teraz na wschodzie bielił się brzask, brzask dnia jakiegoś niewyraźnego, nieskończenie smutnego, który się podnosił po nad uśpionemi namiotami. W jednym z nich już rozpoznać można było ziemisto szare twarze Loubeta i Lapouella, Chouteau i Pascha, którzy chrapali dalej z otwartemi gębami.

Jutrzenka żałoby wstawała wśród mgieł koloru sadzy, które się unosiły tam głęboko nad rzeką daleką...

II.

Około godziny ósmej słońce rozproszyło ciężkie mgły i gorący i czysty poranek niedzieli sierpniowej zajaśniał nad Milhuzą, wśród rozległej, żyznej płaszczyzny. Z obozu obecnie już rozbudzonego, wrzącego życiem, słychać było dzwony ze wszystkich sąsiednich parafij, dzwoniące całą gamą tonów w powietrzu czystem i jasnem. Piękna ta niedziela strasznej owej klęski miała wesołość swoją powietrzną i pełną blasku świątecznego pogodę.

tograficzny aparat autora. Co do treści wolę go, jak autora „Ojca“, bo nie mogę w żaden sposób zgodzić się ze Strindbergiem, że widok upadania istot „słabszych“ jest wspaniałym. Jest on smutnym i strasznym i krew w żyłach się ścina, gdy nań patrzymy.

Kierunek Wolnego Teatru jest bardzo sympatyczny, jako kierunek ożywczy. Życie mało ma intryg i „węzłów“ dramatycznych, dramat z niego czerpie swe siły, niech więc zachowa jego cechy charakterystyczne. Przedstawiajmy sceny z życia, a przy talencie i zamiłowaniu do prawdy, stworzymy również porywające tragedye, podniosłe dramaty i lepsze, niż dotychczasowe, komedye.

(D. n.) W. Bugiel.

KAZIMIERZ BARTOSZEWICZ

(W rocznicę srebrnego z literaturą wesela).

III.

Rozporządzając po zamianie „Kurjera“ na pismo tygodniowe większą ilością czasu, urządził Bartoszewicz szereg publicznych pogadanek w hotelu Saskim. Była to u nas zupełna nowość słuchać z katedry lekkich, dowcipnych, pełnych werwy fejletonów o literaturze, najnowszej poezyi, o sztuce, o wychowaniu kobiet, o sprawach społecznych, miejscowych itd. To też rzadko który z prelegentów taką liczbą słuchaczów mógł się poszczycić. Najzawistniejsze nawet Bartoszewiczowi pisma (bo umiał on szczególnie narazić się dziennikarzom i stronnictwom), musiały jednak zapisać ten sukces niezwykły na swoich szpaltach. Część jednej pogadanki, wyborna satyra „Kołtun polityczny“, ukazała się w jednem z pism warszawskich; parę pogadanek drukowało jedno z pism lwowskich; pojedyncze ustępy, stanowiące całość, umieszczał „Kraj“ petersburski.

Jeszcze za czasów redagowania codziennego „Kurjera Krakowsktego“, zaproszono Bartoszewicza do współpracownictwa w „Kraju“, z chwilą zaś upadku „Kurjera“ przeniósł on do tego pisma prawie połowę swej działalności. Oprócz korespondencyj tygodniowych, wkraczających często na pole polityczne, a dających zaborowi rosyjskiemu pełny obraz naszych stosunków, w każdym numerze „Kraju“ znajdowaliśmy w r. 1889 i 1890 jeden lub dwa jego fejletony w dziale, zatytułowanym „Luźne kartki“, a składającym się z artykułów Orzeszkowej, Spasowicza, Gomulickiego, Stebelskiego, Cz. Jankowskiego, Masoniusa i t. p. Powierzyła mu przytem redakcya wyłączne prowadzenie „Kącika“ satyrycznego i humorystycznego, zamykającego szereg fejletonów. Nie koniec na tem: w zeszytowym dodatku literackim do „Kraju“, co krok spotykaliśmy się z artykułami literackiemi i historycznemi Bartoszewicza, oraz ze sprawozdaniami jego pióra z najnowszych dzieł naukowych i beletrystycznych. W tymże dodatku przedrukował „Kraj“ owe świetne „Trzy dni w Zakopanem“, które zamieszczone poprzednio w „Kuryerze polskim“ rozchwytywane były przez publiczność tak dla wybornej charakterystyki miejscowości jak i dla nieocenionego humoru.

Kiedy warszawski „Kuryer codzienny“ zreformował się w r. 1889, wezwano Bartoszewicza do obszernego bardzo współpracownictwa, z tytułem redaktora. Szły więc z Krakowa codzień korespondencye, wstępne artykuły, przeróbki artykułów zagranicznych, sprawozdania literackie i artystyczne, wiersze, humorystyka, rozmaitości. Była u niego formalna filia „Kuryera codziennego“. Jedynym jednak literackim dorobkiem z tego stosunku z „Kuryerem“ pozostało kilka wdzięcznych nowelek i obrazków, w których humor walczył o lepsze z głębokiem i prawdziwem współczuciem dla nędzy i złamanych życiem talentów.

Współpracownictwo Bartoszewicza w „Kuryerze codziennym“, niezwykle nużące i zabierające wiele czasu, zmniejszyło się z chwilą objęcia przez niego redakcyi „Krakusa“ pisma tygodniowego przeznaczonego dla ludu. Lubo różniliśmy się z poglądami „Krakusa“ na sprawę ludową, musieliśmy przyznać jego dawnemu redaktorowi, że podniósł poziom pism wydawanych dla ludu i że wystrzegał się wszelkiej polemiki, która tylko drażni i gorszy czytelników po wioskach i małych miasteczkach, osłabiając w nich wiarę w słowo drukowane.

W ubiegłym roku 1891, oprócz współpracownictwa w „Kraju“, wielkiej ilości artykułów wstępnych, literackich, historycznych i fejletonów w obecnym „Kuryerze“ i szeregu „Wolnych myśli“ w naszem piśmie, pracował Bartoszewicz nad wydaniem dwutomowego poważnego dzieła na uczczenie setnej rocznicy 3-go Maja. Mówimy tu o „Księdze pamiątkowej“, stanowiącej zbiór cennych, częścią nieznanych materyałów do dziejów konstytucyi, zebranych przez wydawcę w archiwach krakowskich. „Księga“ zawiera także oryginalną pracę Bartoszewicza o dniach ostatnich przed konstytucyą, o jej uchwaleniu i o dalszych sesyach sejmowych. Nie leży w zakresie naszej kompetencyi oceniać pracę historyczną, posłużymy się przeto słowy specyalisty, jednego ze znanych historyków, autora „Witołda i Jagiełły“. W obszernej recenzyi pomieszczonej w „Przeglądzie powszechnym“ krytyk tak się między innemi wyraża o „Księdze“ i o pracy Bartoszewicza:

„Księga pamiątkowa“ zajmuje naczelne miejsce wśród literatury 3-go Maja. Pomysł jej ułożenia oryginalny i trafny. Daje ona wszechstronny obraz społeczeństwa polskiego podczas wielkiego sejmu, opracowana jest starannie i stanowi książkę popularną w najszlachetniejszem tego słowa znaczeniu... Kronika dni kwietniowych i majowych pióra wydawcy opowiedzianą jest barwnie i potoczyście. Autor posiada zdolność pochwycenia zasadniczych momentów i zgrupowania koło nich opowiadania w ten sposób, że rzecz przedstawia się przejrzyście“.

Pracę około „Księgi pamiątkowej“ i zebrania cennego „Albumu“ rycin i portretów, odnoszących się do 3-go Maja, przerywał Bartoszewicz pisaniem tych świetnych „Fejle-

---

Gaude nagle w niezwykłej porze, zatrąbił sygnał na rozdawanie żywności i Loubet zdziwił się bardzo, co się to stało. Jakto?... cóż tam znowu nowego?... Czy może kurczę wczoraj żartem obiecywane Lapoullowi rzeczywistością się stało?

Urodzony w Paryżu przy ulicy de la Cassonnerie, w bliskości halli centralnej, syn, którego wypadkowi zawdzięczała matka, handlująca jarzynami na koszyki, „przystał“, jak sam mówił do wojska „za grosze“, przed tem jednak wszelkie praktykował rzemiosła był przez czas jakiś kuchcikiem, zawsze węszącym smaczny kąsek. Poszedł tedy zobaczyć, gdy tymczasem Chouteau, artysta, malarz pokojowy, z przedmieścia Montmartre, wściekły o to, że został powołany pod broń już po wysłużeniu swego czasu, żartował sobie okrutnie z biednego Pacha, którego zeszedł na odmawianiu pacierza, na klęczkach za namiotem. A to dopiero małpa kościelna!... kiedy się tak modli, niechby sobie wymodlił u swego Boga sto tysięcy franków renty!...

Ale Pache, który pochodził z jakiejś zapadłej wioski w Pikardyi, wątły i z głową spiczastą jak głowa cukru, pozwalał żartować z siebie, z łagodnością i słodyczą męczennika. Był on ofiarą plutonu, cierpiał za wszystkich, chociaż mu w tem w części pomagał Lapoulle, olbrzym, wyrosły na błotach Solonii, prawie idyota, tak nieświadomy niczego, że w dniu przybycia do pułku prosił, żeby mu króla pokazano. I chociaż wieść o klęsce pod Fröschwiller krążyła po obozie od samego ranka, czterej ci ludzie śmieli się i z obojętnością głupią maszyn bezmyślnych, codzienne obowiązki spełniali.

Ale wtem ukazał się Jan w towarzystwie Maurycego. Wracali oni z rozdawania żywności i nieśli... drzewo do palenia. Dokoła rozległ się szmer zdziwienia i śmiech ironiczny. Nakoniec dają drzewo, na które wojsko czekało daremnie wczoraj i nie mogło sobie zupy ugotować. Tylko dwanaście godzin spóźnienia!...

— Brawo!... Niech żyje intendentura! — krzyknął Chouteau.

— Ale przecież jest!...— rzekł Loubet.— Zaraz ja wam tu nagotuję pysznego rosołu!.. Będzie szyk zupka!... palce lizać!...

Zwykle on chętnie podejmował się gotowania i koledzy dziękowali mu za to, gdyż gotował doskonale, ale przytem Lapoulle miał się z pyszna, gdyż się zawsze z niego nażartował, posyłając go po rzeczy niebywałe i takie, o których biedaczysko nigdy nie słyszał.

— Lapoulle, przynieś szampana!...

— Lapoulle, idź po trufle!...

Tego ranka także przyszła mu do głowy dziwna myśl łobuza paryskiego, co się chętnie naśmiewa z idyoty.

— No, prędzej!... — zawołał — dawaj kuraka!..

— Skąd kuraka?

— No tam, patrz, leży na ziemi... Ten kurak, com ci go wczoraj obiecał, kurak, co go kapral właśnie przyniósł!...

Wskazywał mu palcem duży kamień biały, u nóg ich leżący. Lapoulle zdziwiony, ogłupiony do reszty podniósł nareszcie ów kamień i zaczął go w rękach obracać i oglądać na wszystkie strony.

— Cóż u stu tysięcy dyabłów!... Idźże opłucz tego kuraka!... Rozumiesz!... A dobrze!... Umyj mu łapy, umyj mu szyję... A nie żałuj wody, leniu jeden!...

I tak sobie dla żartu i śmiechu, dlatego, że myśl o jadle gorącem rozweseliła go i rozbawiła, wrzucił do kotła pełnego wody, kamień razem z mięsem....

— To dopiero doda smaku rosołkowi!... tyś tego nie wiedział, co? No to cóż ty wiesz trutniu jeden!... Dostaniesz romansik... zobaczysz, jakie to delicye!...

Pluton cały brał się za boki ze śmiechu

toników“, w których talent jego fejletonistyczny w największym świeci blasku. Brał tematy jakie miał pod ręką, a przedewszystkiem silnie i trafnie uderzył na istniejący dziś system szkolny. Jego uwagi nad macoszem traktowaniem historyi polskiej, nad przestarzałym wykładem dziejów powszechnych, nad męczeniem młodzieży gramatyką i balastem terminologii, znalazły powszechny odgłos i rozgłos. Spróbowano z nim polemizować, ale dał odprawę tak jasną i dobitną, że wobec opinii odniósł walne zwycięstwo, a nawet płynął na wydanie pewnych tajnych okólników przez wyższe władze szkolne. Nie przesadzamy twierdząc, że fejletonisty poniekąd zasługą poruszenie ogólne umysłów, jakie się objawia obecnie w sprawie wychowania młodzieży. — „Fejletoniki“ wyszły osobno i spotkały się z niezwykłem uznaniem krytyki. —

Podać nam jeszcze należy ogólną charakterystykę Bartoszewicza jako pisarza.

Z góry zwróciliśmy uwagę, że po jego talencie spodziewać się należało więcej, anizeli dał dotychczas. Z góry też jednak zastrzegliśmy, że całe jego życie i cała jego praca literacka innemi poszłyby tory, gdyby nie stanęły mu na drodze liczne przeszkody. Dwudziestoletni młodzieniec przez redagowanie „Szkiców“ spotkał się z pierwszem niepowodzeniem materyalnem i wmięszał się mimowoli do walki stronnictw. To był pierwszy krok w tył na drodze do karyery przeważnie naukowej. Wydawnictwo dzieł ojca nie oddalało go od niej wprawdzie, ale powstrzymało posuwanie się naprzód. Bankructwo wreszcie księgarni, której powierzył swoje fundusze, dokonało reszty, i Bartoszewicz zamiast docentem historyi i literatury polskiej został... księgarzem. Walka o kawałek chleba dla siebie i zwiększającej się rodziny, kazała zapomnieć o wszelkich marzeniach i dalej sięgających planach.

Z metamorfozą zajęć, szła równolegle metamorfoza kierunku pisarskiego. Skazany na codzienne zatrudnienia księgarsko-wydawnicze, tylko w wolnych chwilach i dorywczo mógł się oddawać literaturze. Nie było czasu ani na uplanowanie, ani wykonanie większego dzieła. Przeszkadzał także i temperament dziennikarski, boć chyba rzadko znaleść w Galicyi takiego z krwi i kości, jak Bartoszewicz, dziennikarza. Temperament ten, który pozwala jednocześnie pisać polityczne artykuły, sprawozdania literackie i teatralne, kreślić wspomnienia z przeszłości i zabierać głos w sprawach społecznych i krajowych, polemizować z przeciwnemi zdaniami i t. d. — zrobił też z Bartoszewicza fejletonistę.

W artykułach literackich i historycznych, sprawozdaniach i życiorysach, pisanych przez Bartoszewicza, uderzają przedewszystkiem dwie zalety: bezstronność i zmysł krytyczny. Fantazyę trzyma on tutaj zwykle na wodzy, grupuje starannie fakta, a w poszukiwaniu prawdy walczy ścisłością argumentów; ożywia opowiadanie lub rozumowanie ciętością pióra i prostotą wykładu, która każdą myśl czyni zrozumiałą, każdy fakt przedstawia jasno i dobitnie.

W kilkunastu nowelkach i obrazkach, wyszłych z pod pióra Bartoszewicza, góruje przedewszystkiem humor, niezwykły dar obserwacyjny i świetna pełna prawdy i przedmiotowości charakterystyka istniejących stosunków. W rymowanych utworach, oprócz łatwości wierszowania i skrzącego się dowcipu, spotykamy często staropolskie zacięcie i język, jakby żywcem wzięty z epoki Klonowicza, lub z późniejszych czasów Wacława Potockiego i Krasickiego. Nierzadko również wśród wesołego śmiechu zabrzmi nuta piekącej satyry obok myśli głębszej i prawdziwego zapału.

Fejletony Bartoszewicza zawdzięczają swą niezwykłą popularność nietylko humorowi, będącemu ich świetną okrasą, ale poruszaniu najważniejszych kwestyj bieżących i społecznych. Zbyt mało mamy miejsca, aby przeprowadzać porównanie ich z fejletonami Lama i Bolesława Prusa, — zresztą porównania tego rodzaju są naciągane, a ustanawianie wszelkiej hierarchii pisarskiej bez obszernego umotywowania bywa niebezpieczne. Zauważyć jednak można, że kiedy sława fejletonów Lama opierała się przeważnie na ośmieszaniu osobistości, a często trąciła prywatą, to u Bartoszewicza prywaty całkiem nie znajdzie, a żarty osób, spotykamy tylko w dawniejszej seryi jego fejletonów. Od wielu lat otrząsł się z tego z pożytkiem dla swego talentu i dla rzeczy, które podnosi; ztąd fejletony jego dawno już przestały być zaściankowemi, zrozumiałemi tylko w Krakowie. Więcej już byłoby w nim podobieństwa do Bol. Prusa, gdyby nie to, że Prus w ostatnich latach często zamiast fejletonów pisze traktaty społeczne, filozoficzne, artystyczne i t. d., które cieszą się mniejszem powodzeniem. Bartoszewicz także każdą sprawę społeczną podnieść gotów, ale poda ją lekko, smacznie, kierując się tak zwanym „chłopskim rozumem.“

Bartoszewicz nie należy do żadnego cechu lub obozu Jako satyryk dostrzega łatwiej, niż kto inny, wady naszych stronnictw. Wyraża zawsze przytem zdanie, że w narodach, nie posiadających bytu politycznego, walka stronnictw (nie z a s a d) osłabia, a nie ukrzepia, że zawcześnie walczyć o f o r m ę, kiedy r z e c z y niema. Tego rodzaju przekonania u nas mało popłacają — i dlatego też nie jest Bartoszewicz *in odore sanctitatis* u żadnego z dominujących dwóch stronnictw. Konserwatyści podejrzywają w nim „tajnego liberała“, liberali „tajnego stańczyka“.

Bartoszewicz nie cieszy się również sympatyą wielu „wielkich“ ludzi naszego grodu, należy bowiem do tych wyjątkowych osobistości, które zwykły mówić, co czują, nie obwijając rzeczy w bawełnę. Przytem jako satyryk i humorysta wyraża się cięto, ostro, co działa na nerwy naszych filistrów. Nie jedno jego *bon mot* obiegło szerokie koła, irytując interesowanych. Rozdając w lewo i w prawo cięgi bladze, pyszałkostwu, niejednokrotnie narażał się na intrygi i bezimienne ukłócia, bo płazy milczkiem kąsają. Są ludzie, co łatwiej przebaczą zbrodnię, niż ich ośmieszenie.

Dużo więc ma i miał w życiu przykrości nie mówiąc o tych zawodach, które powyżej skreśliliśmy. A mimo to duch jego silny nie upadł i w chwilach największych przykrości, umiał mieć dla ludzi twarz wesołą. Może to wynik wielkiej czynności umysłu, który, godząc się ze stanem rzeczy, leczy się prędko z zadanej rany i zabiera się z zapałem do nowej pracy.

A otwiera się dla tej pracy obecnie szersze pole. Po długich latach szamotania się z narzuconym przez stosunki zawodem, Bartoszewicz pozbył się w ostatnich dniach księgarni, a więc swobodniej będzie się mógł oddawać pracy literackiej. Wiemy nawet, że zabrał się już do pisania parotomowej powieści społecznej. Może więc niezadługo nie będziemy mogli powiedzieć, że rozprasza swój wielki talent na drobiazgi.

* * *

Wyczerpawszy w ogólnych zarysach materyał, który nam służył do scharakteryzowania pracy literacko-dziennikarskiej Bartoszewicza w ciągu ćwierćlecia, uważamy sobie niejako za obowiązek przeprosić jubilata za kilkakrotne poruszanie kwestyj drażliwych, które, wierzymy mocno, mogły go niemile dotknąć w naszej sylwetce, jako zaczerpnięte niejako z tajników życia jego prywatnego jako wydawcy, a więc nie nadające się do publicznego traktowania. Uczyniliśmy to je-

---

z głupiej miny Lapoulla, który przekonany już teraz zupełnie, oblizywał się łakomie. To szelma ten Loubet... przy nim nudzić się nie można. I gdy ogień podniósł pod słońce czerwone języki, gdy kocioł szumieć zaczął, wszyscy z nabożeństwem stojąc dokoła, radosnem okiem przypatrywali się mięsu, które w kotle tańczyć zaczynało i wąchali zapach, rozchodzący się już dokoła. Pobili nas, to prawda... ale przecież brzuch napełnić trzeba!... Od jednego końca obozu do drugiego, ognie kuchni buchały, kotły wrzały i była to radość żarłoczna i krzykliwa, a krzyki te i żarty mięszały się w powietrzu z dźwiękami dzwonów, dochodzącemi ze wszystkich parafij Milhuzy i z kościołów wsi okolicznych.

Wtem, gdy już dziewiąta wybić właśnie miała, spostrzeżono ruch jakiś nagły. Oficerowie biegali tu i tam i porucznik Rochas, któremu właśnie kapitan Beaudoin wydał jakiś rozkaz, przebiegł przed namiotami swojego oddziału.

— Dalej, prędzej, rzucać wszystko, zwijać wszystko, marsz!...

— A zupa!?...

— Jutro zupa!... Idziemy natychmiast!....

Trąbka Gauda dawała sygnały, powtarzając swoim językiem rozkaz nieodwołalny, natychmiastowy.

Pomiędzy wojskiem słyszeć się dały szemrania, wszyscy ze zdziwienia zgłupieli. Cóż to!... iść nie zjadłszy?... czy to nie można godzinę poczekać, aż zupa będzie do jedzenia możliwa!... Pluton chciał gwałtem napić się rosołu, ale była to jeszcze tylko woda gorąca, a mięso, nieugotowane, jak kamień opierało się zębom. Chouteau z wściekłością mruczał coś pod nosem. Jan musiał użyć swojej powagi, aby przyśpieszyć przygotowanie swoich ludzi. Bo i cóż znów tak pilnego!?... Czegóż tak uciekać?... Na cóż to tak ludźmi rzucać, nie dając im nawet czasu, żeby siły pokrzepili?... Gdy Maurycemu mówiono, że ten pośpiech dowodzi, że pułk idzie na prusaków, — wzruszył ramionami z niedowierzaniem.

Nie minął kwadrans cały, a obóz został zwinięty, namioty złożone, przytwierdzone napowrót do tornistrów, kozły z broni rozebrane i na ziemi gołej nie pozostało nic już, tylko ognie kuchenne, które dogorywały.

(D. c. n.)

dnak, wbrew panującym w tej mierze pojęciom, jedynie dlatego, aby na tle wypuklejszem, w świetle osobistych starań i wysiłków Bartoszewicza, tem jaskrawiej uplastycznić jak nawet tacy dziennikarze-redaktorzy i literaci, mimo wyjątkowych talentów i wyjątkowych zdolności, muszą się w Galicyi borykać z losem, niepewni jutra i przyszłości. Życzeniem, aby się dzisiejszy jubilat doczekał szczęśliwiej złotych z literaturą godów — kończymy sylwetę.

Józef Bornsztein.

K. BAUDELAIRE.[1]

Z cyklu „Małe poematy — prozą".

Dobrodziejstwa księżyca.

Księżyc, który jest wcieleniem kaprysu, zajrzał w Twoje oko, kiedy do snu ułożona w kolebce spoczywałaś. I rzekł sobie: podoba mi się to dziecię.

I zsunął się łagodnie po stopniach, w które spiętrzyły się obłoki i wślizgnął się bez szmeru poprzez szyby do wnętrza. I pochylił się nad Tobą z rzewną czułością matki i na obliczu Twojem barwy swoje złożył. A źrenice Twe strzeliły blaskiem zielonym, lica bladością pokryły się niezwyczajną. Przyglądając się gościowi, szeroko otworzyłaś oczy, pod jego czułym uściskiem pierś tak ci się ścisnęła, że płacz tłumiony wiecznie dusić ją się zdaje.

I w wielkiej radości rozpłynął się księżyc po komnacie Twojej, rozpłynął się — niby strugą fosforyczną, niby trucizną świetlaną. A cały ten potok światła żyjącego myślał i mówił: „Pod zaklęciem mego pocałunku pozostaniesz wiecznie! Ukochasz to, co ja kocham i co mnie kocha! Ukochasz wodę, obłoki, milczenie i noc; morze wielkie, a zielone; wody bezkształtne i wielokształtne; kraj, w którym przebywać nie będziesz; kochanka, którego nie będziesz znała; kwiaty potworne; zapachy, co odurzają; koty, które mdleją na fortepianach, jęcząc jak kobiety, żałośnie a łagodnie!"

„I pokochają cię moi kochankowie, i dworować ci będą moi dworacy. Będziesz królową ludzi o źrenicach zielonych, ludzi, których pierś, podobnie jak pierś Twoją, w nocnej ścisnąłem pieszczocie... Będziesz królową tych, co kochają morze, morze wielkie, gwarne i zielone, wody bezkształtne i wielokształtne, kraj — gdzie nie mieszkają, kobiety, których nigdy nie widzieli, kwiaty ponure, podobne do kadzielnic religij nieznanych, zapachy, które wolę mącą i zwierzęta dzikie a namiętne, które godłami są ich obłędu!"

— I dlatego dziecię przeklęte, kochane, pieszczone, dlatego dziś u stóp Twoich leżę i szukam w Tobie odblasku owego strasznego bóstwa, owej piastunki-trucicielki, matki złowróżbnej, która chrzest wszystkim lunatykom sprawia....

Przeł. M. G.

---

[1]) Szkic niniejszy jednego z prowodyrów szkoły symbolistów francuskich stanowi niejako ilustracyę sposobu tworzenia tych pisarzy „*fin de siècle*", którym p. Miriam poświęcił w Krakowie dwa odczyty.

Przyp. Red.

LISTY Z NIEMIEC.

(Korespond. „Myśli").

Berlin, w Kwietniu 1892 r.

Nowa opera M. Moszkowskiego. — Maurycy Karasowski. — Fryderyk Bodenstedt.

Wypadkiem dnia w naszym świecie artystycznym jest—nowa opera Maurycego Moszkowskiego pt.: „Boabdil, ostatni król Maurów", która wystawioną została w królewskiej operze berlińskiej.

Wiadomo wam zapewne, że twórca symfonii: „Joanna d'Arc" i słynnych „Tańców hiszpańskich" jest Polakiem, rodem z Częstochowy. Pochodzenie kompozytora nie podoba się oczywiście niemiaszkom, którzy z właściwą im bezczelnością anektują Moszkowskiego dla wielkiej nacyi germańskiej.

Nowa opera wielce cenionego muzyka porywa głęboką, prawdziwie dramatyczną siłą i mistrzowską formą. Moszkowski uprawiał dotąd przeważnie muzykę liryczną, obecnie zaś dał się poznać światu, jako twórca z „Bożej łaski", olśniewający niemal bogactwem i ekspresyą tonów.

Na uznanie zasługuje również udatne libretto Karola Witkowskiego, osnute na tle erotycznych dziejów Boabdila oraz jego niewolnicy a następnie żony: Zorai.

Moszkowski stworzył na tle maurytańskiego dramatu wspaniałe dzieło muzyczne, nad którego kolebką czuwał wprawdzie Ryszard Wagner, ale które, mimo Wagnerowskich wpływów, nie jest pozbawione wybitnego indywidualizmu. Tylko w tej roli wybitnej, którą kompozytor przeznaczył orkiestrze, tylko w instrumentacyi stąpa Moszkowski na Wagnerowskich drogach, zresztą pozostaje wiernym starym mistrzom. Publiczność berlińska przyjęła „Boabdila" z zapałem, który manifestował się w hucznych oklaskach i wywoływaniach kompozytora oraz librecisty.

* * *

W Dreźnie umarł jeden z najbardziej może dziś utalentowanych polskich muzyków ś. p. Maurycy Karasowski. Urodził się on w Warszawie w r. 1823 i pierwsze studya muzyczne odbywał pod kierunkiem Frejera i Kratzera. Już wówczas skomponował kilka utworów, które krytyka przyjęła nader pochlebnie. W r. 1853 widzimy go znowu w Warszawie, gdzie należał do składu orkiestry opery. Wypadki r. 1863 zmusiły Karasowskiego opuścić kraj i przesiedlić się do Drezna. Tam oddał się gorliwie pracy literackiej i artystycznej, przyjął obowiązki korespondenta „Dzien. Pozn." i „Kur. Warszawskiego", a nadto przez czas pewien grywał jako solista w orkiestrze drezdeńskiej opery. Wszystkie prace śp. Karasowskiego odznaczały się gruntowną znajomością przedmiotu i sumiennem opracowaniem. Zmarły wydał tamże kilka dzieł poważniejszych, które chlubnie zapiszą imię autora na kartach historyi muzyki.

Wymienimy tutaj: „Rys historyczny opery polskiej", „Życie Mozarta" i „Młodość Szopena".

* * *

Fryderyk von Bodenstedt, autor pieśni „Mirza Schaffy", znakomity literat i poeta niemiecki, dnia 18 z. m. zakończył życie w Wiesbadenie. Urodził się w Peine 22 kwietnia 1819 r. W nędznej hanowerskiej mieścinie stoi dotąd w rynku jego dom rodzinny, obecnie skromna restauracya, której frontową ścianę zdobi tablica pamiątkowa, a salę portret poety, przypominający jedyną literacką znakomitość, jaka na tym gruncie wyrosła. Fryderyk Bodenstedt miał być kupcem, lecz prędko porzucił rozpoczęty zawód, wstąpił do uniwersytetu i poświęcił się nauce historyi i filozofii. W 20 roku życia został nauczycielem w domu ks. Golicyna w Moskwie, następnie podróżował po Kaukazie, Krymie i Azyi mniejszej. Po powrocie do Niemiec wydał dzieła: „Ludy Kaukazu" i Tysiąc i jeden dni na Wschodzie". Pieśniami „Mirza Schaffy" pozyskał ogólną popularność. Pieśni te doczekały się przeszło stu wydań i były tłómaczone na wszystkie języki europejskie. W 1853 r. powołał go ks. Ernest do Gotha, w 1854 r., król Maksymilian bawarski do Monachium wraz z Geiblem, Riehlem, Bluntschlem, i wielu innymi, gdzie wykładał literaturę słowiańską i angielską; w 1866 r. był intendentem meiningeńskiego teatru dworskiego. Od 1870 r. poświęcał się wyłącznie pracom literackim; najprzód w Meiningen, potem w Altonie, wreszcie w Wiesbadenie. Prócz licznych i cennych prac oryginalnych, zasłużył się literaturze niemieckiemi tłomaczeniami poetów angielskich i rosyjskich.

W. L.

PIĘĆ WIECZORÓW.

STUDYUM Z NATURY

CEZAREGO JELLENTY.

(Ciąg dalszy.)

Lutek. Kiepski waryat z ciebie, kiedyś wziął na kieł, to chodźmy... (Idą przyśpieszonym krokiem, gdy są już blisko domu, gdzie mieszka Aniela, Wacław zwalnia chód i raz po raz rzuca ukradkiem spojrzenia ku oświetlonym oknom, Lutek chwyta jedno spojrzenie w lot). Aha! mam cię bratku; myślałeś, że mię ocyganisz, a teraz widzę, że cię te niebieskie okienka tak samo czarują, jak ongi magnetyzowały niebieskie oczy panny Anieli. . Rozumiem ja teraz twoją febrę... (Stają nawprost okien). Ach! ty filozofie, pluń na to i idź pocieszyć się i rozgrzać u ciepłego boku twojej żony! Znowu drżysz?... chodźmy (bierze go pod rękę i ciągnie). Wacku! (tonem serdecznym). Dawniej miewałeś do mnie więcej zaufania; jeżeli ci ta dzierlatka tak zajechała w głowę, trzeba było do pioruna wynieść się z Warszawy na jej ślub...

Wacław (kiwa głową smutno). Pleciesz od rzeczy.

Lutek. Nie mam może racyi? Jeśli już z ciebie taki niefortunny neurastenik, bo inaczej nie umiem nazwać podobnej słabości, to miejże przynajmniej na gębie minę tęgą! Niech się ona nie domyśli czasem, że cię zgryzła, bo będzie po tobie jeździć, zobaczysz! One to umieją...

Wacław. Uroiłeś sobie jakiś romans i snujesz temat do nieskończoności. Ot, miałem chwilową recydywę i po wszystkiem. Już minęło... (ożywia się). Mój kochany, gdyby ja był człowiekiem czynu i przymusowej pracy, jak ty, możebym podobnych kompromitacyj sobie samemu nie wyrządzał, ale te podłe nerwy, zwłaszcza po kilku podlejszych jeszcze nocach, zbiły mię widocznie z nóg i oto czepia się mnie rozmaite plugastwo...

Lutek. Przecie, że nareszcie mówisz jak człowiek.

. . . .

Wacław. Nie uwierzysz, co się ze mną działo kilka minut temu, teraz mogę już zdemaskować się. Przyśniło mi się ni ztąd ni zowąd, że widzę w oknie Pawła i Anielę, złączonych uściskiem i tak mi gwałtownie krew zaczęła bić w skroniach, że na razie oślepłem poprostu; koło serca doznałem takiego wrażenia, jakgdyby mi ktoś wepchnął szpilkę po sam łebek, ażem musiał uczepić się Ciebie. Chwała Bogu, atak idyotyzmu minął...

Lutek. O ja wiem nie od dziś, że z ciebie ładny ananas...

Wacław. Gdybyś ty tak siadywał przy biurku po dziesięć godzin dziennie, jak ja, i dawał się żywcem pożerać literackim ambicyom, możebyś nie był tak pewien siebie. Wiedz o tem, że my, piszący, jesteśmy niedołęgami zawsze i wszędzie, gdzie nie chodzi o myślenie i smarowanie piórem. Nie raz rozsadza cię zapał i uczucie siły i energii, tak że gotów byś podjąć się wykonania dwunastu prac Herkulesa, gdy nagle, nie wiadomo skąd, nędzna błahostka, godna kopnięcia nogą, wytrąca cię jednym rzutem z równowagi, osłabia fizycznie i duchowo, zasępia i zasmuca, i stajesz się czarnym melancholikiem, próżniakiem, impotensem. Nie znam istoty bardziej żałosnej nad literata w jednej z takich chwil pognębienia... (dochodzą do Marszałkowskiej i znowu wracają). Z czasem wyrabia się w duszy odporność na tego rodzaju bodźce demoralizujące, ale obawa powrotów, chociażby coraz rzadszych, trwa chyba do samej śmierci...

Lutek. Skoro tak pojmujesz swoją i twojego typu chorobę, powinieneś umieć zdobyć się na tyle nad tobą przewagi, ażeby żyć trochę i na zewnątrz i nie dopuszczać do ostatecznego zasklepienia myśli w ciasnem kółku głupiej bazgraniny. Nie znam się na tem tak dobrze jak wy, ale nie pojmuję też, jak wy możecie rościć pretensye do wpływu na ogół, do kruszenia i przetapiania pojęć, jeżeli taki oto osobnik, jak ty, bawi się w amory a na wspomnienie ich... mdleje... Jakto dobrze, że ludziom zamydlacie oczy pozorami siły i wiary w siebie, bo inaczej wątpię, czyby chcieli wspierać się na takich mocnych, tęgich filarach!...

Wacław. Przesadzasz! Co do mnie, to nigdy żadnej miłości swojej na seryo nie traktowałem. Sprobuj nabić sobie głowę porządnie majakami sławy, żyj pewien czas ludzkością a nie rodziną, zwiąż i sprzęż się ze światem szerszym siecią duchowych nici, a przekonasz się wnet, jak maleje w tobie wszelki romantyzm i jak...

Lutek. Ho, ho! We mnie by nie mógł wcale maleć, bo go nigdy nie posiadałem. Do ostatniej kropli krwi będę używał, ale kochać się! O, wara amorowi odemnie!

(Stróż nocny, otulony po same oczy grubym kożuchem, z pałką pod pachą, staje pod murem i ciekawie przygląda się dysputującym). O, z niego bierz przykład. Ten ci nie potrzebuje żadnej filozofii ani społecznikowstwa, ażeby mieć zdolność poprzestawania na swojej połowicy...

Wacław. Nie szczególny wybrałeś mi wzór... Znam ludzi bardziej godnych zazdrości, niż on... Już wolałbym usychać z nieodwzajemnianego uczucia, niż marznąć przez dwanaście godzin na śniegu...

Lutek. Eh! Daj sobie pokój. Wszystko jest lepsze niż wasz weltschmerz. On się nie truje rozmyślaniami ani żadną tęsknotą. Ma wprawdzie chwile katzenjammeru, ale to wtedy, gdy kto na gwałt zadzwoni do bramy i oderwie go od pani Maciejowej. Ale dasz dyskę i odrazu mu się myśli rozpogodzą...

. . . .

Chodnik zaściela stopniowo cień, którego rąbek powoli wspina się na mury domów. Coraz mniej oświetlonych okien; przeciwległa strona ulicy tchnie głęboką senną ciszą... Z oddali słychać miarowy, jednostajny odgłos kija, uderzającego o flisy... Lutek i Wacław krokiem nieco zwolnionym mijają znowu dom, w którym zamieszkało Pawłostwo.

Wacław (śpiewając)

Still ist die Nacht, es ruhen die Gassen,
In die-i-i-sem Hause wohnte mein Schatz...

(zniża głos i wkrótce umilka zupełnie...)

Lutek. Cóż to jest takiego?

Wacław. Schuberta „Doppelgänger", pyszna pieśń, nie długa, ale z wielką siłą dramatyczną napisana.

Lutek (śmiejąc się). Wiesz co? Zaśpiewaj im coś porządnego pod oknami, ale huknij tak, jak to potrafisz... Wyobrażam sobie jakby cię Pawełek błogosławił... Korci mnie, ażeby im jakąś fimfę puścić. (Chwyta Wacława pod rękę i chce zawrócić w stronę okien). Oho! uważasz?... W salonie zgasili lampę... Tam do djabła... koniec uwertury!... Zaczyna się opera!... No nareszcie!... myślałem, że się już nie doczekam.... Aha, wyciągasz szyję... Chciałbyś należeć do spółki... co?... Żeby tak szelmy mieszkali na parterze, zagrałbym im po szybach akompaniament... Czemu nie chcesz iść dalej?... (woła w stronę okien) Smacznego! Smacznego! (Nagle podchodzi do Wacława i zagląda mu w oczy). Czyś ty sfiksował?... Wacku! Co ty robisz?... A mazgaju, a dzieciaku!... (Bierze go za obie dłonie).

Wacław z trudnością wydobywa chustkę z tylnej kieszeni fraka i zakrywa nią twarz. Tłumione łkania zlekka wstrząsają jego ciałem... (Dok. nast.)

TRAGEDYA LUDZKOŚCI.

(Emeryka Madacha.)

(Ciąg dalszy).

Potężnym skokiem przez czasów i miejsca przestrzenie dostaje się duch poety do Rzymu, upadającego skutkiem rozpusty. We wspaniałej sali stojącej otworem, dokoła bogato zastawionego stołu spoczywają: Adam, jako Sergiolus — Lucyfer jako Milo — Ewa jako Julia — dalej towarzysze Sergiolusa i hetery, towarzyszki Julii, wszyscy bezwzględnie obnażeni i rozpłomienieni. Na trybunie walczą gladjatorzy, w koło zaś tłumy niewolników czekają na rozkazy. Na tle takiej sceneryi charakteryzuje poeta dosadnie moralny upadek wprowadzonych na scenę osób i ich epoki. Cnota jest tu przedmiotem szyderstwa, równie jak bogowie, kobieta zaś narzędziem rozkoszy. Dla przykładu krótki tylko wyjątek:

Sergiolus (Adam) i hetera Hippia rozprawiają o miłości. Sergiolus zakłada się potem z Catulem, że dotrzyma Julii na kilka tygodni wierności. Przerywa cyniczną tę dyssertacyę Milo (Lucyfer) szydząc:

Wspaniały dyskurs i godny zajęcia
Przy pełnej czarze, w uściskach dziewczęcia.
Ale wasz zakład?

ADAM.

Gdy inaczej zrobię,
Możesz wziąć Julię.

CATULUS.

Gdy zaś wygrasz, tobie?...

ADAM.

Konia mi swego dasz.

CATULUS.

Mnie dość miesiąca;
Zwrócę ją potem, albo jako żywo
Pochłonie Julię sadzawka cuchnąca.

LUCYFER.

Patrz na tę rybę, Julio! Twe mięsiwo
Wytuczy kiedyś inne ryby znowu.

Okrucieństwo jest chlebem powszednim tych ludzi. Z trupem gladiatora wyprawiają niegodne igraszki. Hippia w wyuzdaniu swem posuwa się tak daleko, że trupa całuje w usta. W tem wchodzi apostoł Paweł i odtrąca ją z okrzykiem:

Nędzna, zarazę wzięłaś z pocałunkiem!

Trwoga opanowuje biesiadnicze grono. Hippia zuchwalstwo swe przypłaca śmiercią. Wesołe grono rozpierzcha się; zostaje tylko Adam i Ewa. Czuję on całą nędzotę moralną występnego życia i korząc się przed Bogiem, błaga go:

O, stwórz lud nowy i myśl stwórz też nową!
Lud, by krew świeżą w wyschłe wlał znów żyły;
Myśl, aby mogły szlachetniejsze prądy
Do szlachetniejszych celów znaleźć drogę.

Jakby w odpowiedź na jego prośbę wschodzi na niebie krzyż, gloryą okolony. Apostoł Piotr zwiastuje Adamowi, że prośba jego zostaje wysłuchaną. Zstępuje w doliny Italii:

Kożą odziani dzicy wojownicy,
Którzy w perzynę obrócą wam miasta,
Zdepcą zasiewy długich lat pokoju.
Nielitościwą stopą, i swe konie
Wśród opuszczonych tu umieszczą świątyń.
Oni to wleją wam dosyć krwi świeżej
W żyliska wyschłe... Ci zaś, którzy teraz
W cyrku pobożne swoje nucą pienia,
Gdy w nich tygrysy zatapiają szpony, —
Ci będą wielkich myśli szermierzami,
Miłość bliźniego i prawo człowieka
Głosząc, wywrócą cały wasz świat dawny.

Porwany nową ideą, Adam wychodzi, wsparty na ramieniu apostoła, aby pospołu z nim torować drogę wzniosłej nauce. Lucyfera chwilowy ten pogrom bynajmniej nie przeraża.

Nasza utopia nęci cię, Adamie!
Wkrótce nad sobą ujrzysz znów me ramię.
Bogu to miłe, bo jest w myśli Bożej,
A czartu także, bo zwątpień przysporzy.

Jakoż spełnia się zapowiedź. Adam zmartwychwstaje w Carogrodzie, siedzibie ortodoksyi chrześciańskiej. Jako Tankred wraca on z pielgrzymki do grobu świętego w towarzystwie krzyżowników i oto prawowierni chrześcianie wzbraniają im wypoczynku w swych murach, ponieważ waleczny rycerz nie chce oświadczyć się za homouzyą lub homoiuzyą. Przed jego oczyma z powodu tego „*i*" setki giną jako kacerze męczeńską śmiercią, a patryarcha, któremu przypomina

Tankred miłość jako pierwsze przykazanie Chrystusowej religii, głośno wypowiada, że właśnie uczucie miłości każe oczyścić płomieniami stosu dusze tych zbłąkanych owieczek z grzechu. W zwątpieniu Tankred skruszyć chce miecz swój, lecz głos wewnętrzny powiada mu, że uczynić tego nie może, on bowiem, jako przedstawiciel rycerstwa powołany jest do torowania drogi nowym czasom. Lucyfer, giermek jego, szydzi z tego zapału:

Daremnym będzie znów twój trud, Adamie!
Wszak ducha czasu jednostka nie złamie.
Strumień się toczy, więc albo przykładnie
Płynąć z nim trzeba, lub zatonąć na dnie!
Prawdziwa wielkość u tego w rozkwicie,
Kto swoje czasy poznał należycie.

Nietylko zresztą w świecie idei doznaje Tankred pogromu. Nagłą zapłonąwszy miłością ku zakonnicy Izaurze (Ewie) chce ją przemocą uprowadzić z klasztoru, lecz Lucyfer przestrzega go, że nie mury tylko oddzielają ich od siebie, lecz groźniejsza nad nie przepaść, utworzona przez ducha czasu... Złamany na duchu i sercu, nie może Tankred dłużej ścierpieć tej przygnębiającej dokoła siebie atmosfery. Wyprowadza go z niej Lucyfer, przestrzegając jednak, że napróżno łaknie spokoju, bo nie da mu go zakosztować duch burzliwy.

I znowu przeskok potężny z Carogrodu do Pragi. Adam przywdział ciało Keplera, Lucyfer jest jego famulusem. W żonie Keplera, Barbarze, poznajemy Ewę. Na dworze cesarza alchemisty oddaje się znakomity astronom swym badaniom nie bez przeszkód. Przesądy i żona niewierna zmuszają go do profanowania nauki kuglarstwem dla miłego grosza. Nie bez wstrętu poddaje się on konieczności przykrej, podczas gdy Barbara oszukuje go, urządzając poza plecyma męża schadzki z dworakami. I tu więc cierpi w nim zarówno człowiek wyższych zapatrywań, jak owo „ja", łaknące szczęścia osobistego.

Scena ta dla znających życie Madacha jest wysoce zajmującą ze względu na postać Barbary i stosunek tejże do Keplera. We wspomnianej postaci tyle jest prawdy życiowej, a w słowach Keplera brzmi tak szezerze gorzka nuta bólu, iż ogólnie przypuszczają, jako poecie własne przejścia stały przed oczyma, gdy kreślił epizod z życia znakomitego astronoma. Ów kontrast psychologiczny pomiędzy mężem, zatopionym w nauce, a próżną, wyzyskującą go kobietą, która jednak w głębi nie odmawia mu ani szacunku ani nawet pewnej sympatyi, przeprowadzony jest z mistrzowską subtelnością.

Znękany Adam-Kepler szuka ostatecznie pocieszenia w trunku. I znajduje takowe. We śnie widzi bój o nowe formy urządzenia świata; słyszy echo marsylianki, patrzy na dzikie zapasy rewolucyi francuskiej. Jako Danton wygłasza z gilotyny, świeżą krwią oblanej, płomienną przemowę do ludu. Wtem zjawia się Ewa. Jest ona siostrą młodego markiza. Razem z nim porwana przez sanskiulotów ma krwią zmazać tę wielką winę, że arystokratyczny ród ją wydał. Nieszczęśliwa zwraca się do Dantona ze słowami:

Oto jest głowa moja, snać nie gorsza,
Niż pani Roland.

Urok pięknej kobiety opanowuje Dantona. Wywiązuje się następujący dyalog:

ADAM.
Jak to srogie słowo
Z ust może wypaść tak anielsko czystych?

EWA.
O inne słowa trudno na szafocie.

ADAM.
To rusztowanie straszne moim światem,
Lecz z tobą stanął tu kawałek nieba
I nawet mnie świętością swoją objął.

EWA.
Zwierząt ofiarnych nigdy nie kalano,
Kiedy szły na śmierć, szyderczemi słowy.

ADAM.
Ofiarnym kozłem, wierzaj mi, sam jestem.
...Rachując codzień pilnie me ofiary
Czekam, aż na mnie także kolej przyjdzie.
Wśród krwawej strugi trapi mnie samotność
I myśl, że tylko miłość szczęście daje.
O, piękna, naucz mnie tej niebian wiedzy,
Przez jeden tylko dzień chciej mnie jej uczyć,
A bez szemrania ja nazajutrz będę
Gotów położyć głowę mą pod ostrze.

(C. d. n.) St. Rossowski.

POKŁOSIE LITERACKIE.

„Moje szczęście" (Ze zwierzeń kobiety) powieść przez Jana Zacharyasiewicza.

Autor wielu powieści, w których naczelne miejsce zajmuje Św. Jur, po dłuższej przerwie przypomniał się czytającemu ogółowi. Przerwa ta jednak w sędziwym pisarzu jest łatwa do wytłómaczenia. Lat bowiem trzydzieści sześć żmudnej pracy literackiej wymaga pewnego odpoczynku, jaki dozwoliłby na zaczerpnięcie sił nowych do dalszej twórczości. A wyszedł on na korzyść Jacharyasiewiczowi, czego dostatecznym dowodom są przezeń ułożone ze zwierzeń kobiety pamiętniki p. t.: „Moje szczęście.

Niema może niewdzięczniejszej formy literackiej, a właściwie trudniejszej nad formę pamiętników. Opanować w zupełności rzecz całą, przeprowadzić należycie charakterystykę piszącej osobę, jest rzeczą nie tak łatwą, i niemałej potrzeba nietylko wprawy pisarskiej, ale i zdolności, by z zadania podjętego należycie się wywiązać. Że wszelkie trudności pokonał Zacharyasiewicz w omawianym „pamiętniku"— dostatecznym dowodem jest fakt, że rzecz czyta się z niemałem zaciekawieniem, a osoba zwierzająca się przed autorem występuje nader plastycznie.

Panna Anetka, córka zrujnowanego arystokraty, który jednak szczęśliwym zbiegiem okoliczności, przychodzi znów do krociowej fortuny, opowiada nam dzieje swoje i młodego człowieka p. Jerzego Rarskiego, którego poznaje w chwili, gdy zjechał komornik, aby spisać ojcowski inwentarz i stare, wypłowiałe meble. Z tego poznania zrodziła się miłość dwojga ludzi, a z niej po wielu przeciwnościach i zwalczeniu przeszkód, „dobrana para" u stopni ołtarza połączyła się węzłem małżeńskim.

Nie chodziło snadź autorowi o fabułę powieściową; daleko więcej zależało widać mu na charakterystyce osób działających, która jest świetnie przeprowadzona. Począwszy od opowiadającej swe dzieje Anetki, której walka uczuć mistrzowsko jest oddana, a skończywszy na p. Serafinie, doktorce filozofii, są tam typy, jakich mało w naszej literaturze. Każde wyrażenie, każde słowo maluje dosadnie naturę ludzką, którą trudno jest nieraz należycie scharakteryzować. Zacharyasiewicz jednak w „Mojem szczęściu" raz jeszcze nas upewnił, iż posiada wszystkie tajniki, jakiemi się dochodzi do upragnionego celu. Jedynym zarzutem, jaki moglibyśmy uczynić p. Zacharyasiewiczowi, jest to, że nienależycie wyzyskał postać kniazia Jarosława, która niemal sama o to się naprasza. Ze wszystkich figur występujących jest ona najbledszą, najniepozorniejszą, aczkolwiek dość znaczną rolę przeznaczył jej autor.

* * *

„Miłość". J. Michelet'a. Warszawa. Nakładem Teodora Paprockiego i Sp. 1891.

Gdyby „Miłość" słynnego autora „Historyi rewolucyi francuskiej" można było, wyciąwszy kilka kartek, dać do rąk najsentymentalniejszej szesnastoletniej dzisiejszej pannie, to jeszcze zawołałaby: Nie! Tego, to już za wiele. Ultraromantyk, Michelet zdaje się zapominać zupełnie o tem, iż między kobietą a aniołem jest jeszcze cokolwiek więcej różnic nadtę, że kobieta jest płci żeńskiej, a anioł neutralnej. Zestawmy „Miłość" Micheleta z powieściami i studyami Pawła Bourgeta, a nie będziemy po prostu mogli zrozumieć, jakim sposobem dwóch ludzi patrzy na jednę tęż samą kwestyę tak straszliwe odmiennie. Ależ nie potrzeba nawet sięgać do Bourgeta, cofnijmy się w bliższe Micheletowi czasy, przewróćmy kilka kartek w *„Phisiologie de l'amour"* Stendhal'a tego mistrza Bourget'a, a zobaczymy tę samą przepaść w pojęciu. Michelet patrzy na kobietę jak na istotę nie tyle z krwi, mięsa i kości złożoną, ile z liliowej woni, księżycowych promieni, szelestu fal w strumyku i eterycznych przezroczy. Wszystko, wszystko literalnie, w pełnem tego słowa znaczeniu, w kobiecie piękne, czarujące, odurzająco czarujące... Czytając tę „Miłość", przypuszcza się, że znakomity uczony zapatrzył się w jakąś wizyę, stworzoną przez własną swoją wyobraźnię i stracił z oczu prawdziwą kobietę— a za nim w wizyę tę zapatrzył się tłómacz „Miłości", tracąc z oczu kardynalne zasady języka polskiego. Bądź co bądź jednak, księgarnia p. Padrockiego i Sp. zrobiła dobrze, wydając książkę Michelet'a. Dobrze jest wiedzieć, co myślano niegdyś o tem lub owem, jak się przekształcają pojęcia o tej samej rzeczy z biegiem czasu i pod wpływem różnorodnych czynników, z których się składa życie ludzkości. Dzieło Michelet'a, jakkolwiek z naszemi, dzisiejszemi zapatrywaniami na rzecz, całkowicie niemal niezgodne, ma jednak wartość dużą: zawiera ono w sobie mnóstwo głębokich myśli i dużo poezyi. Rozentuzyazmowany swoją wizyą kobiety wielki historyk, wypowiada à propos niej rzeczy, które się nie starzeją nigdy, które tylko w genialnym urodzić się mogą umyśle, a przytem, od czasu do czasu wizya zamienia się w muzę i prawdziwej poezyi słowa mu szepce.

* * *

„Jak w życiu". Obrazki Wilhelma Feldmana. Nakład O. Zukerkandla i Syna w Złoczowie.

(b.) Pożyteczne wydawnictwo „Biblioteki powszechnej" w Złoczowie puściło w świat obrazki znanego w naszej literaturze autora: „Żydziaka" i „Żydówki".

W zbiorku znajdujemy cztery utwory: „De profundis. Capriccio. Przy ognisku domowem. Cuda i dziwy — z tych trzy pierwsze osnute na tle ogólno społeczno-obyczajowem, ostatni zaś porusza z takim znawstwem przez Feldmana traktowaną kwestyą żydowską. Czy wszystkie jednakiej wartości? Bezwątpienia — nie.

W „De profundis", obrazku pod względem pomysłu doskonałym, odsłania Feldman jednę z bolesnych ran społecznych: tak częste niestety, omyłki sprawiedliwości. Młody chłopiec, sierota

dostaje się pod czułą opiekę jakiejś baby, która bez zastanowienia posądza dziecko o kradzież zegarka. Nikt nie broni Adama — idzie więc do więzienia, gdzie czekać ma na rezultat śledztwa. Otoczenie wyrzutków społeczeństwa oddziaływa najfatalniej na umysł i serce chłopca.

Niewinne pacholę, zrazu bojące się i nieśmiałe poddaje się wkrótce wpływowi łotrów i złodziei, z którymi go „okoliczności“ zmusiły bezpośrednio się stykać. Więzienie zrobiło swoje: wszedł doń Adam z czystem sumieniem, opuszcza te mury z sercem, pełnem jadu, goryczy, i zemsty, aby niebawem dostać się znowu pod klucz za zbrodnię prawdziwą.

Tętni w tej nowelce jakaś nuta serdeczna, udzielający się czytelnikowi żal i sympatya dla maluczkich i pokrzywdzonych, których rzecznikiem jest Feldman oddawna. Psychologia wierna, rysunek postaci dobry i wypukły, brak tylko odpowiedniej formy, pięknej i barwnej szaty zewnętrznej.

Autor snać usiłuje pokonać trudności stylowe i niewątpliwie je pokona — dziś jednak język i zwroty rażą pewną nienaturalnością, są jakby na urząd robione. — „Capriccio“ jest rzeczą znacznie słabszą w pomyśle (szablonowym) i najmniej udatną pod względem formy, może właśnie dlatego, że Feldman usiłował tutaj roztoczyć przed czytelnikiem opisy przyrody, którym brak wdzięku i prawdy. O wiele lepszym od poprzedniego jest obrazek: „Przy ognisku domowem“, osnuty na tle obyczajowem: nędzy moralnej filistra, bałamucącego guwernantkę własnych dzieci, w czasie nieobecności żony. Typ p. Stefana jest oryginalnie pomyślany, budzi on w nas odrazę, co dowodzi, że jest z natury fotografowany i psychologicznie przeprowadzony. Obok noweli „De profundis“ postawiłbym na drugiem miejscu: „Cuda i dziwy“.

Rzecz to tendencyjna o charakterze żydowskim; autor miał na celu — nie po raz pierwszy zdaje się — przedstawić w jaskrawem świetle szkodliwość chejderów, jako rozsadników zepsucia obyczajowego u młodzieży żydowskiej, która zaprawia się w tych ogniskach ciemnoty do życia, pełnego wstecznictwa i przesądów. Bohater Feldmana jest właśnie jedną z licznych ofiar potępienia godnego systemu. Umiera on przedwcześnie, mimo opieki rodzicielskiej. Zabiła go chejderowa szkoła, ferment niwelujący umysł i serce dzieci.

Reasumując nasze uwagi, powiemy, że ostatni zbiorek Feldmana, podobnie, jak i dawniejsze jego utwory świadczą, iż młody autor posiada talent rzetelny, który rozwija się nieustannie, choć w kierunku może zbyt jednostronnym. Więcej refleksyi przedmiotowej nie zaszkodziłoby utworom p. F., któremu radzimy szczerze popracować jeszcze nad formą pisarską przez wczytywanie się w Sienkiewicza, Prusa, Swiętochowskiego i w. i. Środek to niezawodnie skuteczny!

MISCELANEA.

*** Wystawa teatralno-muzyczna w Wiedniu otwartą zostanie uroczyście dnia 7 bm.

Wyczerpujące sprawozdania o tej ekspozycyi, która budzi powszechne zainteresowanie w Europie, znajdą nasi czytelnicy w listach wiedeńskiego korespondenta „Myśli“, dra H. Monata, zaszczytnie znanego tłómacza „Lilli Wenedy“ Słowackiego na język niemiecki.

*** „Ekonomisty polskiego“ opuścił prasę zeszyt kwietniowy i zawiera: 1) Dwadzieścia pięć lat Rosyi w Polsce (1863—1888). Zarys historyczny, (ciąg dalszy); 2) Bank włościański w Galicyi (1868—1884) (dokończenie), przez Dr. Leopolda Caro; 3) przyszłość kolei lokalnych w Galicyi, przez Maurycego Machalskiego; 4) Kronika „Ekonomisty Polskiego“.

*** Sylweta Kazimierza Bartoszewicza, pióra redaktora naszego pisma, p. Józefa Bornszteina, wyjdzie w tych dniach nakładem „Myśli“ w oddzielnej odbitce.

*** Utwór Maeterlincka pt.: „L'intruse“ wystawiono w pierwszych dniach bm. na scenie teatru wiedeńskiego na Josefstadzie.

*** Otwarcie teatru im. Fredry w Stanisławowie odbyło się uroczyście 18 z. m. Przedstawienie „Ślubów panieńskich“ Fredry poprzedził śliczny prolog pt.: W przededniu, pióra wysoce utalentowanego poety: St. Rossowskiego, którego publiczność kilkakrotnie wywoływała. Na inauguracyę nowego przybytku sztuki w Galicyi przybyli do Stanisławowa: twórca „Damazego“ Józef Bliziński oraz dziennikarze: Ad. Dobrowolski, Fryling i Nikorowicz.

*** Publiczne posiedzenie krak. Akademii Umiejętności odbyło się 3 bm, według zwykłego ceremoniału. Zgodnie z zatwierdzonemi zmianami statutowemi — projektowanie kandydatów na członków odbędzie się dopiero na jesieni. W rb. przyznała Akademia następujące nagrody im. Probusa Barczewskiego:

Za pracę historyczną, w kwocie 1125 złr. prof. Kazimierzowi Morawskiemu za dzieło: *„Andrzej Nidecki, jego życie i dzieła;* za pracę malarską Wojciechowi Kossakowi za obraz: *„Wspomnienia z lat dziecinnych“*. Cztery nagrody im. Lindego — każda po 337 rubli — przyznano drowi Biskupskiemu za słownik kaszubski, drowi Mikołajowi Bobowskiemu za słownik staropolski, Aleksandrowi Brücknerowi za pracę „Kazania Świętokrzyskie“ i Rafałowi Lubiczowi za przyczynki do języka polskiego.

Konkursy ogłoszono następujące: Konkurs im. Józefa Majera na pracę historyczną o polityce Jana Sobieskiego w stosunkach do Austryi. Nagroda 1000 złr. Termin do 31 grudnia 1894 r. Konkurs im. Lindego na pracę z zakresu języka polskiego. Nagroda 675 rubli. Termin do 31 grudnia 1894 roku. Konkurs im. generała Augustynowicza na pracę o dziejach zniesienia zależności poddańczej i uwłaszczenia włościan w krajach polskich, wreszcie konkurs im. Władysława Kretkowskiego na pracę z dziedziny algebry.

*** Piotr Chmielowski wygłosił w Warszawie odczyt na temat: „Postacie niewieście w komedyach Fredry“ (ojca). Znakomitą tę pracę drukuje obecnie „Tyg. Illustr.“

*** Nieznane utwory (wierszem) Józefa Narzymskiego, autora znakomitych komedyj: „Epidemia“ i „Pozytywni“ zamieścił „Kuryer Warsz.“ w nrze 101 z br. Wiadomo, że do czasów Narzymskiego, który rozwinął znacznie charakter i zakres naszej dramaturgii, komedyopisarstwo polskie miało tylko dwóch wybitnych przedstawicieli: Fredrę i Korzeniowskiego.

*** Dr. Wł. Frankowski, ceniony lekarz, obchodził w Charkowie półwiekowy jubileusz swej zasłużonej działalności.

*** Na tle historyi Mazepy skomponowała operę pani de Granvalle. Libretta dostarczyli dwaj dziennikarze francuzcy, napisawszy je podług dramatu Słowackiego i poematu Byrona.

*** Jednoaktowy dramat M. Gawalewicza, osnuty na tle życia Leonarda de Vinci pt.: „Perła“, wystawił w tych dniach teatr Rozmaitości w Warszawie.

*** W bibliotece Ossolińskich we Lwowie p. Jan Józef Baranowski złożył dokumenta, stwierdzające, że on jest twórcą planu pożyczki państwowej w r. 1871, która umożliwiła Francyi szybkie spłacenie pięciu miliardów kontrybucyi, nałożonej na kraj ten przez Niemcy. Swiadczy o tem między innemi list Adolfa Thiers'a z dnia 13-go marca 1871 r. P. Baranowski, finansista, matematyk i mechanik, jest autorem słowniczków języków polskiego i angielskiego i przebywa w Londynie.

*** Zola, którego najnowszą powieść: „La débâcle“ drukujemy w odcinku „Myśli“ pisze romans na tle naukowem pt.: „Doctor Pascal“.

*** **Z teatru.**

(b) P. Klementyna Wolańska, uczennica p. Stępowskiego, artysty teatru krakowskiego, wystąpiła po raz pierwszy 5 bm. na deskach naszej sceny, w roli Cypryanny w „Rozwiedźmy się“ W. Sardou. P. Wolańska zaprezentowała się nam w charakterze aspirantki do ról salonowych i pierwszym swym debiutem wywarła wrażenie nader korzystne. P. W. posiada przedewszystkiem warunki zewnętrzne, więcej, niż żywy temperament, a grą, nie pozbawioną intuicyi i smaku, zdradza niezaprzeczoną inteligencyę, która pozwala wróżyć jej powodzenie w przyszłości, a zachęcić na razie do gorliwej i sumiennej pracy, zwłaszcza nad głosem, mało melodyjnym i nie dość silnie brzmiącym. Trudno oczywiście po jednym debiucie wyrokować stanowczo o talencie amatorki, w każdym jednak razie stwierdzić już można, że p. Wolańska stanowi bardzo podatny na artystkę salonową materyał, który dyrekcya winna pozyskać, a reżyserya umiejętnie zużytkować. P. W. zdradzała chwilami pewne zakłopotanie, małą tremę, nieodłączną od pierwszych kroków scenicznych. Usterki w gestykulacyi i poruszaniu się na scenie dadzą się z łatwością, pod dobrym kierunkiem, usunąć.

*** **Nekrologia.**

† Maurycy Stankiewicz, zasłużony bibliograf i doskonały znawca filologii litewskiej, zmarł w Krakowie, przeżywszy lat 35. Stankiewicz był z zawodu księgarzem; pracował przez długie lata w księgarni Gebetnera i S-ki, następnie prowadził antykwaryat na własną rękę, w ostatnich zaś czasach zajmował stanowisko prokurenta księgarni „Spółki Wydawniczej“. Studya nad piśmiennictwem litewskiem („katechizm Ledesmy“, wyjaśnienie genezy biblii litewskiej) zjednały Stankiewiczowi imię sumiennego badacza. Zmarły komentował również Anczyca i Mickiewicza, a czasopisma: „Przewodnik bibliograficzny“ i „Kwartalnik historyczny“ stale zasilał swemi pracami.

† Sygurd Wiśniowski, energiczny pionier przemysłu naftowego w Galicyi i utalentowany publicysta zmarł 22 bm. we Lwowie. Wiśniowski kształcił się na wzorach amerykańskich. Napisał kilka utworów beletrystycznych jak „Hidalgo“, „Mój Barb“, „Królowa Oceanii“.

† Franciszek Ksawery d'Abancourt, b. redaktor „Dziennika Polskiego“. autor dzieła: „Era konstytucyjna monarchii Austro-węgierskiej od r. 1848 do 1881 zmarł w Bolechowie.

† Leonard Winiarski (Kutschera), utalentowany artysta teatru krakowskiego (do ról charakterystyczno-komicznych) zmarł 3 bm.

† Słynny poeta amerykański Walter Whitmann, poeta-yankes, zmarł w Compdue, pod New-Jersey. Był to wieszcz — demokrata, entuzyasta postępu i odrębnych urządzeń Ameryki, bożyszcze „młodej Ameryki“. Utwory jego posiadają niezmiernie oryginalną, rozwichrzoną formę, która nadaje poezyom Whitmana charakter wersetów biblijnych. Jest to rodzaj prozy poetycznej. Jeden z utworów Whitmana pt.: „Twarze“, pełen głębokich myśli i polotu, zamieścił „Kuryer Codz.“ (nr. 101), w przekładzie p. A. Langego.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: **Józef Tarczeński.**

i powyższej swojej elukubracyi i nie sadziłby się na cytowanie wycinków z pism autorów, których głównej tendencyi i postulatów widocznie nie zna zupełnie. Inaczej wiedziałby przecież, że identyfikowanie komunizmu — z anarchizmem (nie z rewolucyą socyalną!) jest absurdem, któregoby się powstydził nawet najzapaleńszy obrońca indywidualizmu.

Na tem zamykam wszelką w tej kwestyi z p. S. W. polemikę. J. S.

Treść Numeru:

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.